



Amy Andrews



Wyspa przeznaczenia

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Lawson Dunlop siedział przy ogrodowym stoliku, z apetytem zajadając jajka z bekonem. Poranna bryza rozwiewała poły jego służbowej kurtki ratownika.

Na wyspę padły pierwsze promienie słońca, które powoli wyłaniało się zza oceanu. O brzasku dnia woda w cieśninie miała barwę głębokiego błękitu. Na jej aksamitnej powierzchni wyraźnie rysowały się białe smugi piany, pozostawione przez pierwsze motorówki.

Po moście nad cieśniną przesuwał się nieprzerwany sznur samochodów wiozących ludzi do pracy w Brisbane. Za godzinę ten ruch się skończy, ale kilku zagorzałych rybaków już siedziało pod mostem z wędkami, nie zwracając uwagi na dobiegający z góry hałas. Lawson przeniósł wzrok na odkryty przez odpływ pas plaży, z zainteresowaniem obserwując przechadzającego się pelikana.

Oddychał głęboko, czując na podniebieniu lekki posmak soli. Po długim i wyczerpującym nocnym dyżurze potrzebował odpoczynku.

Krzyk szybującej w górze mewy przerwał ciszę. Lawson odwrócił się w stronę siedzącej obok dziewczyny, która od pięciu lat była jego partnerką w zespole ratowniczym. Ubrana w taki sam służbowy kombinezon, w milczeniu jadła śniadanie. Czas posiłku był niemal jedynym momentem, kiedy Victoria Dunleavy przestawała mówić. Wdychała niesione przez bryzę słone kropelki i napawała się pięknem krajobrazu.

- Nie będę miała takich widoków w Londynie - zauważyła między jednym a drugim kęsem hamburgera.

Lawson potrząsnął głową:

- Pewnie, że nie.

- Czy mówiłam, że to już za dziewięćdziesiąt dni?

- Tak, raz albo dwa.

- Dziewiątka i zero. A potem już mnie tu nie ma.

Myśl, że znajdzie się tak daleko od swojej ukochanej wyspy Brindabelli, sprawiała jej prawdziwą przykrość. Czuła się jak ptak, który ma po raz pierwszy opuścić rodzinne gniazdo.

- Uhm - mruknął Lawson.

Przełknął następny kęs bekonu. Będzie mu brakowało jego współpracownicy. Dobra partnerka w pracy to rzadkość, a w ich zawodzie wyjątkowo cenna. Miał tylko nadzieję, że uda mu się nawiązać podobną współpracę z kimś następnym.

- Będę tęsknić za bliźniakami i ojcem - dodała po chwili.

Na myśl o rozstaniu z rodziną łza zakręciła jej się w oku. Ale miała już dwadzieścia sześć lat, więc nie wypada płakać. Przyszedł czas, by podjęła samodzielne życie.

Lawson usłyszał w jej głosie smutek i zrobiło mu się głupio, że myślał tylko o utracie partnerki w pracy. Vic, jak nazywali ją przyjaciele, zasługiwała na więcej. Poświęciła rodzinie dużą część swojego życia i teraz, kiedy młodsi bracia dorośli, powinna wyjechać. Tak jak kiedyś on sam to zrobił.

- W chwili twojego wyjazdu bliźniacy będą już na uniwersytecie. Zajęci urządzeniem się w nowym miejscu, pewnie nawet go nie zauważą. Bob też na pewno da sobie radę. Jedź poznawać świat.

Skinęła głową. Oczywiście Lawson ma rację. Podjęła właściwą decyzję, choć wcześniej nie zdawała sobie sprawy, jak będzie jej ciężko. Rok temu, gdy rezerwowała bilet, wszystko wydawało się jeszcze bardzo odległe, ale teraz zaczęło przybierać niepokojąco realne kształty.

Skończyli w milczeniu śniadanie. Lawson spojrzął na zegarek: szósta trzydzieści. Mają jeszcze półtorej godziny do końca dyżuru. Powinien wrócić do domu w porę, by zobaczyć Matildę, zanim wyjdzie do szkoły.

Vic siedziała cicho, co było u niej niezwykle, ale wiedział, że jej milczenie nie potrwa długo. Znał ją od czasu, gdy zaczął pracować z jej ojcem jako początkujący ratownik. Była wtedy drobną sześciolletnią dziewczynką, której buzia nigdy się nie zamykała, i pod tym względem z upływem lat niewiele się zmieniło.

- Będziecie za mną tęsknić, prawda?

Spojrzał na jej zamyśloną twarz, wychwytyjąc w głosie nutę niepewności.

- Oczywiście. Ryan, Josh i twój ojciec będą za tobą tęsknić. I wszyscy koledzy w pracy. Jak też Matilda.

Tak więc wszyscy będą za nią tęsknić. Nawet ośmioletnia córeczka Lawsona. A on sam? Siebie nie wymienił i to ją trochę rozczarowało. Vic zawsze miała do niego słabość, ale sądziła, że jest to tylko niewinne zauroczenie o dwanaście lat starszym przyjacielem rodziny i opiekunem w pracy. Nie, nie była w nim zakochana. Ale na pewno będzie go jej bardzo brakowało. Odwróciła ku niemu twarz.

- A ty, Lawsonie? Będziesz za mną tęsknił?

Zdziwiony spojrzał jej w oczy. Uderzyło go to, co w nich widział. Coś, co sięgało w głąb jego duszy.

- Oczywiście. Szkoliłem cię pięć lat, wyrosłaś na świetnego ratownika. A teraz twój ojciec pewnie przydzieli mi jakiegoś żółtodzioba prosto po akademii.

Bob Dunleavy, jego dawny nauczyciel i ojciec Vic, był zwierzchnikiem służb ratownictwa medycznego na wyspie.

- Będę musiał zaczynać od nowa z kimś innym.

Vic powoli wypuściła powietrze. Oczywiście. Będzie tęsknił za nią jak za koleżanką z pracy. Dlaczego miałyby oczekiwać czegoś innego? Nigdy nie była dla niego kimś więcej.

Tymczasem żaden chłopak, z którym się umawiała, nie wytrzymywał porównania z Lawsonem. Każdemu z nich czegoś brakowało. Vic nie rozumiała, czemu tak jest, choć ze strony Lawsona nigdy nie odczuła żadnej zachęty. Traktował ją jak córkę przyjaciela i jednego z wielu ratowników. Nie był nawet najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego zdarzyło jej się spotkać. Przeciwnie, czasami umawiała się z naprawdę atrakcyjnymi facetami. Lance Coulter, miejscowy lekarz, był tak seksowny, że kobiety z całej wyspy omdlewały na jego widok.

Jednak to Lawson miał w sobie coś, co nieodparcie ją przyciągało. Z pewnością nie miał klasycznej urody, a jego twarz o kwadratowej szczęce i zakrzywionym nosie można było uznać co najwyżej za interesującą. Szare oczy nie wyróżniałyby się niczym szczególnym, gdyby nie ciepłe spojrzenie, jakim potrafił dodawać otuchy przestraszonym pacjentom. Ale te same oczy przypominały morze w czasie sztormu, kiedy spotykał się z ludzką głupotą i niepotrzebną brawurą. No i była blizna. Ta, o której nigdy nie mówił. Przecinała ukośnie obie jego wargi i brodę.

Wysoki, blisko metr dziewięćdziesiąt wzrostu, o szerokich ramionach, zwykle wypełniał sobą całą przestrzeń. Przy jego potężnej sylwetce Vic czuła się dziwnie mała i krucha, choć z pewnością nie była delikatnym kwiatuszkiem. Była silna i energiczna, tak jak wymagała tego praca.

Naglący dźwięk pagera przerwał jej myśli. Lawson pierwszy wyciągnął aparat.

- Czterdziestoczworoletnia kobieta. Ból klatki piersiowej. Borilla Avenue.

Vic skinęła głową. Jej mózg już przestawiał się na profesjonalne działanie.

- Chodźmy.

Okrzyżła stół, gotowa do akcji. Nie oglądając się za siebie, pobiegła do karetki. Lawson podążył za nią ze wzrokiem utkwionym w podskakujący koński ogon i drobną sylwetkę, na której opinał się kombinezon ratownika. Pomyślał, jak interesująco pod elastyczną tkaniną rysują się krągłe pośladki Vic, a pasek podkreśla zaokrągloną linię bioder.

Krągłości? Do ubiegłego roku nawet nie zauważał, że ona ma jakieś krągłości.

Znał Victorię od czasu, kiedy miała sześć lat i nosiła warkoczyki. Dawno jednak przestała być dziewczynką, a stała się kobietą, i to ponętą. Jej szeroko rozstawione oczy, pełne wargi, dołeczki w policzkach, które w dzieciństwie nadawały jej wygląd małego aniołka, teraz tworzyły niezwykle seksowną całość. Jednak nie powinien o tym rozmyślać, to nie jest właściwe.

Z trudem skierował myśli na czekającą pracę.

Kilka godzin później Vic pogrążona była w głębokim śnie. Dopiero kilka mocnych uderzeń w drzwi sypialni przywróciło jej świadomość. Wysunęła głowę spod poduszki i krzyknęła w stronę drzwi:

- Czego?

Jej bracia byli właśnie w domu, w przerwie między egzaminami w ostatniej klasie liceum. Tego popołudnia mieli zdawać pisemny egzamin z biologii i rano powinni powtórzyć materiał.

- Ryan skaleczył się w palec - skarżył się przez drzwi Josh.

Vic uniosła z trudem ciężkie powieki. Ostatniej nocy ciężko pracowała i była wykończona.

- Przyklej mu plaster - wychrypiała, ponownie chowając głowę pod poduszkę.
- To wygląda na coś poważniejszego.

Vic z rezygnacją odrzuciła poduszkę. Słyszając wahanie w głosie brata, poczuła ukłucie niepokoju. Obaj dobrze wiedzieli, że z błałego powodu nie mają prawa zakłócać jej snu.

Spojrzała na zegar. Spała zaledwie dwie godziny. Nic dziwnego, że czuła się, jakby przejechał po niej walec. Sen w pierwszych kilku godzinach był zawsze najgłębszy i wyrwana z niego czuła się paskudnie. Otworzyła drzwi i wpuściła do klimatyzowanej sypialni podmuch gorącego powietrza. Spojrzała na wyższego od siebie brata. Miała zaledwie metr sześćdziesiąt wzrostu i każdy nad nią górował. Josh był blondynem o jasnej cerze, którą wraz z bratem odziedziczyli po matce, podczas gdy śniada Vic podobna była do ojca.

- Lepiej, żeby to było naprawdę poważne.
- Jest. Ryan bardzo krwawi.

Vic podążyła za bratem, zbytnio się nie przejmując. Wiedziała, że na osobach bez przygotowania medycznego nawet niewielka ilość krwi robi duże wrażenie.

Była jeszcze zaspana i nieprzygotowana na widok, jaki powitał ją w kuchni. Przez moment myślała, że Ryan został przypadkiem postrzelony. Krew była wszędzie. Chłopak trzymał rękę nad zlewem.

- O rany, Ryan! - Zupełnie rozbudzona rzuciła się w jego stronę. Pośliznęła się na plamie krwi na posadzce. - Coś ty zrobił?

- Mówiłem ci, żebyś jej nie budził - Ryan zwrócił się z pretensją do brata. - Powiedziałem ci, żebyś tylko przyniósł plaster.

Vic odwinęła ściereczkę ze skaleczonego palca i pomyślała, że plaster nie załatwi sprawy.

- Co się stało? - zapytała, zastanawiając się, ile już krwi brat utracił.

Ryan spuścił wzrok, a Josh odpowiedział dopiero po chwili:

- Omsknął mu się nóż, kiedy przecinał swój but.

Vic spojrzała na Ryana.

- But?

Skrzywił się, gdy odwijała prowizoryczny opatrunek.

- To były stare buty.

Widząc patrzącą na niego podejrzliwie siostrę, dodał pospiesznie:

- W reklamie było napisane, że można to zrobić tym nożem.

Vic potrząsnęła głową, dziwiąc się w duchu, jakim cudem jej brat dożył prawie osiemnastych urodzin. A już ten wyczyn można by zapisać w księdze rekordów męskiej głupoty.

- Na pewno było też napisane, żeby nie robić tego w domu.

W końcu odsłoniła ranę. Środkowy palec Ryana trzymał się tylko na skrawku skóry.

- Plaster? - spytała ironicznie.

Ryan wzruszył ramionami.

- Kiedy to się stało?

- Jakies dwadzieścia minut temu - odparł przestraszony Josh.

Dwadzieścia minut! - pomyślała Vic. Nic dziwnego, że kuchnia wygląda jak po masakrze. Co oni sobie wyobrażali, myśląc o zaklejeniu palca plastrem? Zadrżała z przerażenia na myśl, że w czasie, gdy spała, jej młodszy brat mógłby wykrwawić się na śmierć. Straciła już matkę, kiedy miała zaledwie osiem lat, i utrata jednego z bliźniaków byłaby ciosem, po którym ona i ojciec mogliby się nie podnieść.

- Palec jest praktycznie odcięty. I będzie wymagał czegoś więcej niż głupiego plastru. Prawdopodobnie nie obejdzie się bez operacji. Joshua - zwróciła się do drugiego z bliźniaków, zaciskając palce na przegubie ręki Ryana, by zatamować wypływ krwi. - Przynies mi czyste ściereczki i telefon.

Josh wyciągnął z szuflady ściereczki, rzucił je siostrze i wybiegł z kuchni. Po chwili wrócił z telefonem. Vic ponownie owinęła rękę brata. Podał jej telefon, na co Vic wzniosła oczy do nieba.

- Czy możesz zrobić to dla mnie i zadzwonić po karetkę?

- Chcesz, żebym powiedział o tym ojcu?

- Nie, sama mu o tym powiem.

Gdy skończyła opatrywanie rany, Josh podał jej telefon.

- Nie ma taty. To Lawson.

Co do licha Lawson robi teraz w pracy? Zaledwie trzy godziny temu skończyli dyżur.

- Zaczekaj chwilę - odezwała się do słuchawki. Lekko pchnęła Ryana na krzesło i powiedziała do Josha: - Trzymaj jego rękę nad głową. O tak. Lawson?

- Victoria?

Poza jej matką Lawson był jedyną osobą, która zwracała się do niej pełnym imieniem i choć niby na to narzekała, w głębi duszy bardzo jej się to podobało. Jako sześciolatka czuła się z tego powodu bardziej dorosła, a dzisiaj, kiedy na jej dłoniach zastygała krew brata, dodawało to jej otuchy.

- Dlaczego wciąż tam jesteś? Gdzie tata? - spytała niecierpliwie.

- Ma jakieś spotkanie w Brisbane. Zastępuję go, póki nie wróci. Co się stało?

- Ryan prawie odciął sobie środkowy palec lewej ręki. Mogłabym zawieść go sama do szpitala, ale może potrzebować fachowej opieki podczas transportu. Czy jest jakaś wolna karetka?

Lawson, przyzwyczajony do licznych urazów Ryana, nawet nie mrugnął powieką.

- Bardzo krwawi?

- Tak, stracił sporo krwi. Ale już udało mi się ją zatamować.

- Wolna jest dziewięćset sześćdziesiąta. Zadzwoń do centrali, dam im znać i będę u ciebie za kilka minut.

Vic odłożyła słuchawkę.

- Lawson będzie za chwilę.

- Przepraszam, Vic...

Machnęła na niego ręką.

- Nie odzywaj się do mnie. Po prostu bądź cicho.

- Ale...

- Przestań - przerwała mu. - Nie mogę uwierzyć, że was wychowałam. Jak można być tak głupim? Jak mogę wyjechać na drugi koniec świata, kiedy wy dwaj wciąż zachowujecie się jak dzieci? Do diabła, nawet małe dzieci wiedzą, że nie należy bawić się

nożami - perorowała. - Macie prawie osiemnaście lat, na miłość boską. Powinniście być dojrzałi. Odpowiedzialni. I uczyć się do egzaminu z biologii.

- Vic...

- Powiedziała, siedź cicho - rzuciła ostro.

Ryan był blady i chyba w szoku. W jej głowie zaczynały krążyć scenariusze: co by było gdyby...

- Pracowałam całą noc, na miłość boską, a wy mieliście tylko dać mi spać i nie kałeczyć się do czasu, aż się nie obudzę. Czy to za wielkie wymagania?

Bliźniacy wbili wzrok w ziemię i pokiwali głowami.

- Ojciec się wścieknie - kontynuowała. - Sądzicie, że dobrze mu to zrobi na jego nadciśnienie? Kiedyś go to w końcu zabije, te wasze wyczyny.

Spojrzała na wykrzywioną bólem twarz Ryana i poczuła cień współczucia.

- Boli cię?

- Tak - wystękał.

Współczucie minęło tak szybko, jak się pojawiło.

- I bardzo dobrze.

Odsunęła opadające włosy i zdała sobie sprawę, że drżą jej ręce. Dotarł do nich daleki sygnał karetki, który wydał jej się nagle najpiękniejszym dźwiękiem na świecie. Ryan stracił dużo krwi i potrzebował transfuzji.

Podłożyła rękę pod łokieć brata i pomogła mu wstać.

- Idziemy, Lawson właśnie nadjeżdża. Trzymaj rękę nad głową.

- Rany, Vic. Czy zawsze masz takie maniery po wstaniu z łóżka? - skrzywił się i poczłapał obok niej.

- Nie. Te są zarezerwowane dla głupich nastolatków.

Lawson podjechał pod ich dom, miejsce, które odwiedzał setki razy, odkąd zamieszkał na wyspie. Wyłączył sygnał w momencie, kiedy ich trójka wychodziła na podjazd, i wyskoczył z samochodu. Spojrzał na zmartwionego Josha, z maltretowanego Ryana i zagniewaną Victorię.

- Ja usiądę z tyłu z Ryanem, a ty ogarnij się i włóż kombinezon. Poprowadzisz.

Vic już chciała się sprzeciwić, gdy zauważyła wzrok Lawsona. W całym tym zamieszaniu zapomniała, że jest w stroju nocnym. Nie, żeby było w nim coś niewłaściwego. Krótkie jedwabne bokserki, rozcięte po bokach, i mała góra zakrywały wszystko co trzeba. Jednak widniejące na nich plamy krwi były bulwersujące.

- W porządku. Będę za dziesięć minut.

Lawson nie mógł oprzeć się pragnieniu, by odprowadzić ją wzrokiem. Już wcześniej zauważył, że z potarganymi włosami była niezwykle pociągająca. Gapił się jak zaczarowany na falujące w ruchu litery układające się w słowa „Ugryź mnie”, widniejące na opinających pośladki bokserkach. Pomyślał, że to właśnie miałby ochotę zrobić.

- Halo, Lawson! Ja tu krwawię.

Ocknął się z rozmarzenia, myśląc z lekkim przerażeniem, na jakie manowce zbłądził jego umysł. Takie są skutki braku kobiety w jego życiu. Obowiązki samotnego ojca i praca na zmianę w ratownictwie medycznym nie zachęcały do szukania przygód.

Zmusił się do skupienia uwagi na rannym chłopcu, któremu krew przesiąkała już przez opatrunek. Pomógł Ryanowi wsiąść do karetki i położyć się na noszach. Podłożył mu dwie poduszki pod zranioną rękę, podnosząc ją powyżej poziomu serca. Na zdrową rękę założył opaskę ciśnieniomierza.

- Osiemdziesiąt na pięćdziesiąt - odczytał wynik. - Ciśnienie masz trochę za niskie. Zanim wróci Victoria, podłączę ci kroplówkę.

Ryan uniósł głowę.

- Co? - zachnął się skrzywiony. - Nie ma mowy. Nie cierpię igieł.

Lawson zaśmiał się. Ile to już razy musiał opatrywać rany brata Victorii!

- Ryan, przed chwilą niemal odciąłeś sobie palec. Uważasz, że można to porównać z maleńkim ukłuciem?

- Chyba nie - odparł zrezygnowany chłopak.

Lawson przygotował wszystko do zabiegu. Spojrzał na siedzącego obok bladego Josha, którego noga nerwowo drgała.

- Nic mu nie będzie. Naprawdę.

Josh kiwnął głową. Wyraźnie się uspokoił.

- Czy mogę wiedzieć, jak udało ci się niemal amputować sobie palec? - zwrócił się powtórnie do Ryana, przecierając mu żyłę środkiem dezynfekującym.

Obaj chłopcy milczeli jak zakłęci. Lawson zacisnął wargi, by powstrzymać uśmiech.

- Hm - mruknął, otwierając opakowanie z wenflonem i wkłuwając go w żyłę. - Głupio wam, co?

- Uau! - jęknął Ryan.

Lawson przymocował wenflon plastrem i podłączył kroplówkę.

- Vic jest naprawdę wściekła - wymruczał Ryan.

- Pewnie ją poważnie wystraszyliście.

- Czy to naprawdę wymaga operacji? - zapytał Josh.

- Nie widziałem tego, ale jeśli jest tak źle jak mówi Victoria, a ona się na tym zna, to tak.

Vic właśnie pojawiła się w drzwiach.

- W porządku. Możemy jechać?

Lawson, zadowolony, że widzi ją w kombinezonie, skinął głową.

- Możesz prowadzić?

- Jasne. - Spojrzała na Josha. - Zapnij pas.

Zatrzasnęła jedno i drugie drzwi. Lawson gwizdnął.

- Jest wkurzona. - Uśmiechnął się, widząc, jak obaj chłopcy nagle się skulili.

Vic nie włączyła syreny. Wiedziała, że brat jest w dobrych rękach. Miała do Lawsona całkowite zaufanie. Był przeszkolony w zakresie intensywnej terapii i bez wahania powierzyłaby mu swoje życie, nie było więc potrzeby gnania na sygnale.

Po piętnastu minutach Ryan był w szpitalu. Dwie godziny później, kiedy leżał już na wózku, przygotowany do operacji, pojawił się Bob.

- Ryan - zawołał - co ty sobie, do cholery, myślałeś?

Vic siedziała u wezłowania brata, trzymając go za rękę, i drzemała. Na dźwięk głosu ojca natychmiast otrzeźwiała. Ryan, lekko zamroczony środkiem przeciwbólowym, z trudem uniósł powieki. W białym szpitalnym kitlu wyglądał jak zagubiony mały chłopiec.

- Przepraszam, tato.

Słaby głos Ryana poruszył w sercu starszej siostry czułą strunę. Ścisnęła jego zdrową rękę. Na ten widok ojciec podszedł bliżej i ostrożnie uścisnął syna.

- Ty głupi dzieciaku - powiedział szorstko, próbując ukryć swoje uczucia. Drugim ramieniem otoczył Josha. Po kilku chwilach wyprostował się, odchrząknął i położył dłoń na ramieniu Vic.

Zdawała sobie sprawę, jak bardzo ojciec jest poruszony. To właśnie w tym szpitalu jej matka zmarła z powodu zatoru płucnego, kilka dni po urodzeniu bliźniaków. A teraz kolejny członek rodziny leży tu, blady i cichy, na szpitalnym łóżku. Musiało to być dla niego bardzo bolesne. Dla niej też.

Bob ucałował głowę córki.

- Lawson, zabierz ją do domu - polecił.

Vic odwróciła się, zdziwiona, że Lawson wciąż tu jest.

- W porządku, tato - zaprotestowała, spoglądając na ojca. - Zostanę.

- Nie. - Bob pokręcił głową. - Swoje już zrobiłaś, Vic, Lawson też. Teraz ja tu zostanę. Centrala wysłała już kogoś, żeby mnie zastąpił. Wy właśnie skończyliście kilka nocnych dyżurów i potrzebujecie snu.

- Chodź, Victorio. - Lawson stał w miejscu, czekając na nią. - Szef wydał rozkaz.

Vic, zmęczona ponad wszelkie wyobrażenie, wiedziała, że ojciec ma rację. Wstała i pocałowała Ryana w czoło.

- Do zobaczenia za kilka godzin - wyszeptała. Nie poruszył się. Przytuliła Josha.

- Nic mu nie będzie - zapewniła brata, wiedząc, że pewnie to on martwi się najbardziej z nich wszystkich.

Cmoknęła ojca w policzek.

- Wrócę tu później. Dzwon do mnie w razie czego - dodała szybko i wyszła za Lawsonem.

Prawie już doszli do windy, gdy dotarł do nich kobiecy głos:

- Lawson? Och, Lawson.

Vic odwróciła się i zobaczyła pielęgniarkę, która opiekowała się Ryanem. Była to piękna młoda dziewczyna, tak wysoka, że Vic nagle poczuła się przy niej jak krasnolu-

dek. Rzuciła okiem na jej imponujący biust, nie mogąc oprzeć się, by nie spojrzeć z westchnieniem na własny, zdecydowanie skromny.

Pielęgniarka flirtowała z Lawsonem od chwili przyjęcia Ryana do szpitala. Zdaniem Vic było to raczej w złym guście, ale była zbyt zmęczona, by ją to obchodziło.

- Cześć. Brianna, tak? - zwrócił się do pielęgniarki Lawson.

Vic obserwowała, jak dziewczyna z zapalem to potwierdza, w oczywisty sposób obiecując sobie zbyt wiele po dobrej pamięci Lawsona. Tymczasem on pamiętał imiona, gdyż była to dla niego zawodowa konieczność.

- Mówiłeś mi o tej stronie internetowej z informacjami na temat amputacji wypadkowych - ciągnęła Brianna. - Tu masz mój adres emaliowy. - Podała mu kartkę. - Możesz mi wysłać link do niej?

Vic wyraźnie widziała seksualne zainteresowanie dziewczyny. Mowa ciała i jej uśmiech nie pozostawiały złudzeń.

- Mogę ci go zapisać - zaproponował Lawson.

Pewność pielęgniarki nieco się zachwiała.

- Och nie, w porządku. Już musicie jechać. Po prostu wyślij mi e-maila.

- Jasne. - Lawson uśmiechnął się, wkładając kartkę do kieszeni na piersi, i podążył za Vic do windy.

Jechali w milczeniu. Lawson czuł napięcie Victorii. Ukradkiem ją obserwował. Wiedział, że martwi się o brata. Przecież to ona praktycznie wychowywała bliźniaków od narodzin. Biologicznie może była ich siostrą, ale pod każdym innym względem - matką.

- Nic mu nie będzie - oznajmił Lawson, gdy winda zatrzymała się na dole.

Vic, zirytowana pielęgniarką, zmarszczyła brwi.

- Wiem - odparła gderliwym tonem.

Wyszła z windy zmęczona, rozdrażniona i wściekła na cały świat. Co się z nią, do cholery, dzieje? Kobiety robią piękne oczy do Lawsona zawsze. Dlaczego teraz tak ją to irytuje?

No, dlaczego?

ROZDZIAŁ DRUGI

Wlokła się z trudem w stronę ambulansu. Potrzebowała snu. Była tak wyczerpana, że mogłaby spać nawet tydzień. W pewnej chwili niemal wpadła na całującą się parę.

- Przepraszam - wybąkała, cofając się w ostatniej chwili.

Para rozdzieliła się. Kobieta spojrzała na nią z uśmiechem.

- Nic nie szkodzi.

Vic już chciała zacząć się tłumaczyć, gdy zdała sobie sprawę, że mężczyznę zna.

- Lance?

Nie widziała swego byłego chłopaka od chwili, gdy cztery lata temu przyłapała go na zdradzie. Dzięki Bogu zaraz potem przeniósł się na Gold Coast. Wciąż wyglądał olśniewająco, ale jakoś nie zrobiło to na niej wrażenia.

Lance był wyraźnie zaskoczony, ale szybko oprzytomniał.

- Vic. Jak miło cię znowu widzieć. - Z niepewnym uśmiechem zwrócił się do swojej partnerki: - Kochanie, to jest Vic Dunleavy.

Vic spojrzała na młodą smukłą blondynkę z imponującym biustem. Jeszcze jedna blond piękność, pomyślała.

- Miło cię poznać - powiedziała uprzejmie, choć było jej to zupełnie obojętne. Była zbyt zmęczona, by miała jej zależeć na czymkolwiek.

W tym momencie poczuła dłoń Lawsona na łokciu. Z ulgą wsparła się na jego ramieniu.

- Pamiętasz Lawsona? - spytała Lance'a.

- Oczywiście. - Lance skinął głową.

Lawson również wykonał nieznaczny ruch, po czym zapadła niezręczna cisza. Po chwili przerwała ją towarzyszka Lance'a.

- Cześć. - Wyciągnęła rękę. - Jestem Kathy.

- Och, wybaczcie - przeprosił Lance. - To jest Kathy. Moja...

Kolejna chwila ciszy i Kathy dodała:

- Narzeczona. Właśnie wpadłam, żeby przynieść mu lunch. Lekarze pracują w takich nieludzkich godzinach.

Vic automatycznie podała Kathy rękę i nagle poczuła się bardzo samotna. Każdy jej związek cierpiał z powodu rodzinnych zobowiązań. Po prostu nie miała na nie czasu. No i to nieuchronne porównywanie każdego chłopaka z Lawsonem. Może wreszcie w Londynie będzie miała szansę o nim zapomnieć i z kimś się związać...

Przez chwilę prowadzili niezobowiązującą rozmowę, wreszcie Lawson zasugerował, że Lance pewnie śpieszy się do pracy. Vic była mu za to bardzo wdzięczna, a sądząc z wyrazu twarzy Lance'a, on też. Na pewno nie chciał, żeby była dziewczyna wspomniała coś o jego niewierności.

- Jak się trzymasz? - zapytał Lawson, gdy skierowali się do karetki.

- W porządku.

Dopiero gdy minęli automat z kawą, zdała sobie sprawę, że nic nie jest w porządku. Czowała nudności, w głowie jej się kręciło.

- Masz drobne? - spytała Lawsona.

Wyjął z kieszeni monetę i podał jej bez słowa.

Vic wyjęła z automatu czekoladowy batonik i kilka minut później, kiedy karetką opuszczali szpital, pochłonięła go w jednej chwili.

- Lepiej?

- Niewiele.

- Chcesz o tym porozmawiać?

- O czym?

- O Lansie.

- Dzięki, ale nie. - Odwróciła się i spojrzała w okno.

Lawson nie naciskał, choć irytowało go, że po czterech latach były chłopak Vic wciąż jest w stanie wytrącić ją z równowagi.

- Nie mogę uwierzyć, że się żeni - rzekła po chwili. Lawson spojrzał na nią ostro.

- Myślałem, że już ci przeszło.

- Bo przeszło. - Vic prychnęła.

- Naprawdę?

- To było lata temu. A poza tym ten facet to lubieżny cudzołożnik.

- Taak. Pamiętam.

Płakała na jego ramieniu przez trzy miesiące.

- Więc kogo to obchodzi, że się żeni? - Wzruszyła ramionami.

Nieoczekiwane spotkanie z Lance'em, brak snu, Wypadek brata, wszystko to wytrąciło ją z równowagi.

- Nie mnie. - Zawahała się. - Jestem tylko... chyba... zmęczona.

Lawson przytaknął ze zrozumieniem. Sam był zbyt zmęczony, by zawracać sobie czymkolwiek głowę.

- Oprzyj się wygodnie i zdrzemnij.

Vic z wdzięcznością zamknęła oczy i poczuła natychmiastową ulgę. Głowa opadła jej na miękki podglówek i zapadła w krótką drzemkę.

Gdy piętnaście minut później otworzyła oczy, Lawson wjeżdżał na jej podjazd.

- Jesteś na miejscu.

- Dzięki. - Odpięła pasy.

Skinął głową.

- Dasz sobie radę? Może chcesz, żebym chwilę został?

Pomyślał o jej krótkich bokserkach i modlił się, żeby odrzuciła jego propozycję.

- Nie, dziękuję. Ty też musisz się wyspać. Dam sobie radę. Do zobaczenia.

- Śpij dobrze.

Pomachała mu od progu i weszła do domu, stwierdzając, że nikt nie pomyślał o zamknięciu drzwi na klucz. Dobrze, że mieszkali w okolicy, w której kradzieże praktycznie się nie zdarzały.

Posprzątała kuchnię, przysznic i telefon do szpitala, by sprawdzić, jak się miewa Ryan, zabrało jej pół godziny. Kiedy skończyła, było wczesne popołudnie. Z trudem dotarła do łóżka. Głowa opadła jej na poduszkę, na ułamek sekundy mignęło wspomnienie ręki Lawsons na jej łokciu, i zapadła w sen.

O dziewiątej wieczór Lawson zastanawiał się nad powrotem do łóżka, gdy usłyszał pukanie do drzwi. Leżał na kanapie przed telewizorem, udając zainteresowanie drugorzędym filmem.

Zmarszczył czoło, zastanawiając się, kto to może być. Podszedł do drzwi, nie zapalając światła. Nie chciał obudzić córki, która miała zawsze lekki sen.

Zaskoczył go widok stojącej w drzwiach Victorii. Miała na sobie dżinsy i czerwoną bluzeczkę kusząco przylegającą do ciała. Włosy luźno opadały jej na ramiona, usta pociągnięte były błyszczkiem.

- Czy nie powinnaś teraz smacznie spać? - zapytał.

- Pewnie tak. - Wzruszyła ramionami. - Nie wiem, dlaczego tu przyszedłam - wymknęło jej się, zanim zdążyła pomyśleć. - Właśnie wracam od Ryana i chyba jestem zbyt niespokojna, żeby jechać do domu.

- Nie musisz mieć specjalnego powodu, żeby do mnie wpadać. Wchodź.

Victoria lubiła pogadać, gdy coś ją martwiło. Zwykle dotyczyło to pracy, w której Lawson był dla niej autorytetem. Na szczęście nie musiał się jej krępować. Przez lata regularnie opiekowała się Matildą i była w jego domu stałym gościem.

- Z Rynem wszystko w porządku?

Przytaknęła, kierując się do salonu.

- Tak. Operacja przebiegła pomyślnie. Miał niski poziom hemoglobiny, więc podali mu dwie jednostki krwi.

Lawson zapalił lampę, która rzuciła na pokój ciepłe światło.

- Zaczekaj. - Na palcach podszedł do pokoju Matildy i cicho zamknął drzwi. - Dwie godziny temu wyglądał całkiem dobrze - dodał. - Tilly i ja wpadliśmy do niego na chwilę.

Vic zagłębiła się w starą skórzaną kanapę Lawsons i natychmiast poczuła się jak w domu.

- Ojciec mi mówił, że byliście.

- Tilly niepokoiła się o Ryana. Chcesz coś do picia?

- Jasne.

Westchnęła i wtuliła się głębiej w miękką kanapę. Telewizor był ściszony, a migające na ekranie światło działało hipnotycznie na jej zmęczone oczy.

- Proszę.

Lawson podał jej kieliszek, a na stoliku postawił butelkę czerwonego wina. Sam usiadł na przeciwległym krańcu kanapy i odwrócił się ku niej twarzą.

Vic upiła odrobinę rubinowego shiraz i przymknęła oczy. Otworzyła je nagle, gdy Lawson pociągnął łyk piwa z butelki.

- Prawdziwi faceci lubią tylko piwo, co?

Lawson uśmiechnął się. Byłaby zszokowana, gdyby wiedziała, co on teraz myśli o prawdziwych mężczyznach i tym, co lubią.

Mimo woli spojrzał na jej usta błyszczące w świetle lampy. Od razu pomyślał, że nie powinien tego robić. Patrzeć na jej usta ani na rysujące się pod obcisłą bluzeczką kształty. To jest niebezpieczne. Rozprasza go. A przecież nie powinno. Victoria jest jego partnerką w pracy, córką Boba. Zmienił temat.

- No to mów, o co chodzi.

Vic wzruszyła ramionami.

- Nie wiem.

Wiedziała tylko, że nie chce wracać do domu.

Dzisiejszego wieczoru nie chciała być córką ani siostrą. Nie chciała zajmować się ojcem ani Joshem. Może dzisiaj chciała po prostu, by dla odmiany ktoś zajął się nią. Lawson pokiwał głową.

- W porządku.

Było oczywiste, że coś ją gnębi i wiedział, że jeśli będzie cierpliwy, sama mu o tym powie.

Spuściła głowę i przyglądała mu się spod na wpół przymkniętych powiek. W tej chwili wystarczało jej słuchanie jego głosu. Głęboki, emanujący pewnością siebie, działał na nią uspokajająco.

- Powinnam wiedzieć, że Ryan zrobi wszystko, byle tylko nie zdawać egzaminu z biologii.

No tak. Oskarża się.

- Victorio!

Zignorowała delikatną reprimendę w jego głosie, wpatrując się w głąb kieliszka.

- Nie powinnam się kłąć, dopóki nie wyjdą do szkoły.

- Victorio, oni nie są już małymi chłopcami. Mają po siedemnaście lat. A ty skończyłaś właśnie dyżur, który trwał trzy noce z rzędu. Miałaś prawo położyć się spać.

Popatrzyła na niego smutno.

- Co, do cholery, Ryan sobie myślał? Powinien być rozsądniejszy. Mówiłam im setki razy, żeby nie bawili się nożami.

- Oczywiście. Wychowałam Josha i Ryana naprawdę wzorowo. Ale nie są już dziećmi i są odpowiedzialni za swoje czyny. Za kilka miesięcy wyfruną z gniazda. Może już czas trochę sobie odpuścić, co?

Znowu spojrzała w swój kieliszek. Rzeczywiście.

Za dziewięćdziesiąt dni wyjeżdża za granicę. Muszą nauczyć się żyć bez niej, tak jak ona bez nich. Spojrzała na Lawsona.

- Powiedz mi jeszcze raz o pracy w Londynie. Jestem pewna, że są jeszcze jakieś historie, których mi nie opowiadałeś.

Lawson dolał jej wina. Czy zmieniała tematy bo coś ją dotknęło? Nigdy nie widział jej w tak melancholijnym nastroju.

Jako dwudziestokilkulatek dużo podróżował po świecie, więc zawsze miał w zanadrzu wiele historii. Zaraz po szkole średniej studiował ratownictwo medyczne, ale gdy tylko skończył studia, wyjechał za granicę, pracując i bawiąc się wszędzie, gdzie los go rzucił. W każdym razie do czasu, gdy jak grom z jasnego nieba spadała na niego wiadomość, że ma córkę.

To była tylko krótka przygoda, ale matka małej po prostu zostawiła go z dzieckiem na ręku. Dzieckiem, które przewartościowało całe jego życie. Rozumiał więc pragnienie Victorii, by zrobić coś ze swoim życiem. Przeżyć je.

I jeśli mógł jej pomóc, opowiadając o swoich przeżyciach, chciał to zrobić. Nawet jeśli straci ją na rzecz poszukiwanych przez nią przygód. Choć perspektywa ta była dla niego bolesna, sam przed sobą nie miał ochoty się do tego przyznać.

Dwie godziny później Vic kończyła drugi kieliszek wina i czuła już w głowie przyjemny szmerek. Poczwała się na tyle odważna, by wtrącić się w nie swoje sprawy.

- Wysłałeś już e-maila do Brianny?

Lawson zmarszczył brwi.

- Do Brianny?

Vic zaśmiała się.

- Tej ze szpitala, zapomniałeś? „Lawson, och, Lawson” - parodiowała pielęgniarkę, Zachichotał.

- Jeszcze nie. Będę musiał zrobić to jutro.

- Wiesz, że tu nie chodzi o pocztę internetową, prawda?

Lawson wyglądał na obrażonego.

- Co sugerujesz? Myślisz, że ona ze mną flirtowała?

- Tak na ciebie leciała, że aż emanowała estrogenem.

Lawson od tak dawna nie miał bliższych kontaktów z kobietami, że był już całkowitym ignorantem, jeśli chodzi o subtelności flirtu. Jego priorytetem była Matilda, a życie samotnego ojca stanowiło wystarczającą żonglerkę bez dodatku w postaci związku z kobietą. Wzruszył ramionami.

- Naprawdę nie zauważyłem.

Vic czasami myślała, że jej zauroczenie Lawsonem dawno by minęło, gdyby z kimś się związał.

- Chłopak, który tylko pracuje, a się nie bawi, robi się nudny.

- Ależ ja się bawię - zaprotestował.

- Lawson, nie byłeś na randce nie wiadomo od jak dawna. Pewnie od ponad roku. Co się stało z tym Lawsonem, którego znałam, kiedy dorastałam? Tego, który mówił: „Kochaj i zostawiaj”? Co z tobą?

- Jestem ojcem.

- Jasne. Ale nie umarłeś. To świetna laska, i robiła do ciebie maślane oczy, a ty byłeś zupełnie obojętny.

- Wyszedłem z praktyki.

Pokręciła głową.

- „Jestem... zajęty. Przede wszystkim muszę myśleć o Matildzie” - przedrzeźniała go. - Nie widzisz, że twoja córka marzy, żeby sypać ci kwiatki na ślubie? Jak dla niej, mógłbyś poślubić nawet wredną macochę, byleby tylko mogła sypać płatki róż u jej stóp.

Lawson zaśmiał się. Od czasu ślubu jego siostry przed kilkoma miesiącami Matilda usilnie starała się go wyswatać.

- Wiesz, jak trudno jest stworzyć związek, kiedy ma się dzieci. Wymaga to szczególnej osoby, kogoś bezinteresownego. A takiego kogoś trudno znaleźć.

Przytaknęła. Wiedziała, jak to jest. Żaden z jej chłopaków nie pojmował jej poświęcenia dla rodziny. Mówili, że rozumieją, ale gdy musiała odwołać kolejną randkę, bo bliźniacy zachorowali albo ojciec został wezwany do chorego, nie zagrzewali przy niej miejsca. Do licha, Lance poszedł nawet krok dalej i rozglądał się na boki, gdy jej przy nim nie było. Więc potrafiła zrozumieć Lawsona. Ale on miał przynajmniej tę satysfakcję, że miał jakieś życie wcześniej. Ona nie mogła o sobie tego powiedzieć.

Spojrzała na niego. Był zamyślony i spięty. Czuła, że są sobie teraz bliżsi niż kiedyś. Miała chęć położyć mu głowę na ramieniu, zapomnieć o swoich obowiązkach i pozwolić, by ktoś się nią zajął.

Odstawiła pusty kieliszek i ziewnęła.

- O rany, chyba jestem trochę wstawiona.

Lawson uniósł brwi. W ciągu dwóch godzin Victoria wypila tylko dwa kieliszki wina.

- Nie miałem pojęcia, że tak tanio można cię upić.

Pokiwała głową, zamykając oczy.

- Rano pewnie będę miała straszego kaca.

Spojrzenie Lawsona skierowało się na jej przymknięte powieki.

- Zadzwoń po taksówkę, żeby odwiozła cię do domu.

Raptownie otworzyła oczy. Dom? Nie, nie chciała wychodzić. Jeszcze nie. Nie była gotowa, by wracać do rzeczywistości.

- Czy mogłabym przespać się tutaj?

Lawson zawahał się. Nie był pewien, czy byłoby to... właściwe. Nieraz spała na jego kanapie, kiedy opiekowała się Matildą, więc powinno być oczywiste, że może tu zostać, ale z jakiegoś powodu mu to nie odpowiadało. Uzmysłowił sobie ich bliskość i usiadł sztywno.

Nie mogąc doczekać się odpowiedzi, Vic zmarszczyła brwi, szukając pretekstu, by nie wracać do domu.

- Proszę, Lawson. Ostatnią rzeczą, jakiej dzisiaj potrzebuje mój ojciec po tym, jak jego syn niemal wykrwawił się na śmierć, jest pijana córka.

- Nie można powiedzieć, żebyś była pijana.

Machnięciem ręki zbyła jego uwagę.

- Mam dwóch nastoletnich braci, pamiętasz? Muszę być dla nich przykładem.

Jeśli ktokolwiek znał ogrom poświęcenia Victorii dla jej braci, to z pewnością tym kimś był Lawson. Mimo to chwilami wciąż go to zaskakiwało. Victoria nie miała normalnego dzieciństwa, nie przeszła zwyczajnie, jak jej koleżanki, okresu dorastania. Nie miała okazji, by się buntować czy eksperymentować, jak większość nastolatków czy jak on sam.

To pewnie dlatego dwa kieliszki wina po trzech nocnych dyżurach uderzyły jej do głowy.

Pomagając ojcu wychowywać dwóch braci i prowadząc dom, miała pełne ręce roboty. Nawet gdy przez trzy lata studiowała w Brisbane ratownictwo, codziennie dojeżdżała z domu do szkoły. Nic dziwnego, że teraz liczyła dni do wyjazdu, gdy wreszcie będzie mogła zacząć żyć na własny rachunek.

Obserwując wahanie Lawsona, wypaliła bez zastanowienia:

- Obiecuję, że nie będę próbowała cię uwieść.

Lawson zakaszlał, chcąc ukryć szok.

- To nie jest zabawne, Victorio - wychrypiął, gdy odzyskał oddech.

Vic, na lekkim rauszu, była coraz bardziej rozbawiona. Myśl ta naprawdę ją kusila. Co by się stało, gdyby swoje zafascynowanie posunęła o krok dalej?

- Jesteś moim partnerem w pracy - kontynuował Lawson. - Znam twojego ojca od dwudziestu lat, mam dziecko, a ty wyjeżdżasz za dziewięćdziesiąt dni.

Teraz zaśmiała się głośno.

- Uspokój się, tylko żartuję.

Lawson wznosił oczy do góry. Powoli jego serce się uspokajało.

- Do diabła - mruzczał, kierując się w stronę sypialni. - Śpij w moim łóżku. Ja prześpię się na kanapie.

- Nie ma mowy - protestowała, idąc za nim. - Ja jestem mniejsza. Zawsze śpię na kanapie. Kanapa mi wystarczy.

Lawson zatrzymał się w drzwiach.

- Mój pokój ma rolety. Wydaje mi się, że przydadzą ci się rano. Poza tym Tilly obudzi się o świcie, a wątpię, czy chciałabyś, żeby cię zrywała z łóżka.

Nie mogła odmówić mu logiki.

- W porządku, już w porządku. Przez chwilę stali, patrząc na siebie.

- Dobranoc - powiedział, wychodząc z pokoju.

Vic odwróciła się.

- Lawson?

- Tak?

- Masz może coś na ból głowy?

Zachichotał.

- Jasne. Zaraz ci przyniosę.

Vic szybko zrzuciła ubranie i wsunęła się pod kołdrę. Z lubością wyciągnęła się na całą długość i przymknęła powieki. Łóżko Lawsona jest takie miękkie! Nigdy wcześniej nie była w jego sypialni. To jest takie... intymne.

Kilka minut później Lawson wszedł do ciemnego pokoju ze szklanką wody i dwiema tabletkami.

- Victoria?

- Uhm?

- Masz. - Usiadł na brzegu łóżka.

Otworzyła jedno oko i zobaczyła białe tabletki na jego dłoni. Sen ogarniał już jej ciało, więc podniosła się z trudem. Podciągnęła kolana pod brodę i z wdzięcznością połknęła tabletki, popijając wodą.

- Dzięki, Lawson. Za wszystko. Za to, że przyjechałeś mi pomóc z Ryanem. I za towarzystwo dzisiaj wieczorem. I za łóżko. I za tabletki.

Lawson obserwował, jak kołdra nieco opadła, odsłaniając czerwone ramiączko jej stanika. Szybko odwrócił wzrok.

- Od czego ma się partnerów?

Vic uśmiechnęła się, dotykając kołdrą policzka.

- Podoba mi się zapach twojej pościeli - zamruczała.

Skrzywił się.

- Przepraszam. Powinienem ją zmienić.

- Nie. Jest w porządku. Pachnie tobą.

Wstrzymał oddech.

- Tak? A jak ja pachnę?

Vic westchnęła, zamykając oczy.

- Jak truskawkowe mydło Matildy, które kupuję jej na Gwiazdkę. I jak ten twój wspaniały płyn po goleniu.

Lawson poczuł, jak kurczy mu się żołądek. Zauważyła, jak pachnie jego płyn po goleniu?

- I świeżo skoszona trawa.

Zaśmiał się i napięcie zelzało.

- Trawa?

- Taak, no wiesz. Zapach ziemi. Męski.

- No cóż, dziękuję. - Znowu się zaśmiał.

Vic uniosła głowę. Lubiła, gdy się śmiał. Nie robił tego zbyt często. Światło padające z okna oświetlało jego twarz, podkreślając męskie rysy i bliznę. Ciekawość, a zapewne również wpływ alkoholu sprawiły, że zdobyła się na odwagę. Uniosła rękę i dotknęła palcem blizny, wiodąc od nosa przez usta ku brodzie. Lawson przestał się śmiać i odsunął, jakby dotknęła jego twarzy płonąca zapałka.

- Przepraszam - wyszeptała, opuszczając rękę. - Byłam tylko ciekawa. Nigdy o tym nie mówisz. Tata ostrzegał mnie, że to delikatny temat, ale... Nie wiem, to przez to wino...

- W porządku. To zdarzyło się dawno, kiedy byłem w innym punkcie mojego życia. Nie lubię o tym mówić.

- Oczywiście - przytaknęła.

Ale bolało ją, że nie chciał się z nią tym podzielić.

Znali się od tak dawna, a jednak czasami miała wrażenie, że go w ogóle nie zna, gdy tymczasem on wiedział o niej wszystko.

Widząc jej zgaszoną twarz, Lawson poczuł ukłucie winy.

- To był wypadek. Miałem wtedy szesnaście lat. Życie mojej rodziny nie było... szczęśliwe. Często się przeprowadzaliśmy, a ojciec pił. Urządzaliśmy z chłopakami wyścigi samochodowe. Pewnego razu jakiś starszy facet zaproponował nam podrasowany samochód. Pomyślałem: czemu nie? Samochód się rozbił, kierowca zginął na miejscu. Wszyscy pozostali byli poważnie ranni. Ja miałem poranioną twarz i pierś. Musieli mnie wycinać z tego samochodu. Spędziłem potem prawie trzy miesiące w szpitalu.

Vic westchnęła głęboko.

- Przykro mi.

- Byłem uwięziony przez dwie godziny. Przez cały czas był ze mną ratownik. Nigdy tego nie zapomnę.

- To dlatego sam zostałeś ratownikiem?

Lawson potaknął.

- Gdyby nie ten wypadek, nie wiem, jak bym skończył. Zmierzałem wtedy donikąd.

Vic poczuła przypływ współczucia dla tego dawnego nastolatka. Zawsze wiedziała, że jej partner ma skomplikowaną osobowość, ale to wyznanie rzucało na niego zupełnie nowe światło. Ileż on wycierpiał!

Ponownie dotknęła jego blizny. Tym razem, choć się wzdrygnął, nie zaprotestował. A potem pod wpływem emocji pochyliła się i przycisnęła do niej usta.

- Biedny Lawson - wyszeptała.

Siedział bez ruchu, czując jej wargi na swojej brodzie. Dotyk ten poruszył w nim pragnienia, o których istnieniu dawno już zapomniał. Victoria jest tak blisko. Jej ciepły oddech oplótł jego ciało obłokiem pokusy.

Wystarczyło, by nieznacznie się poruszył, żeby sięgnąć do jej ust. Tak bardzo chciał ją pocałować! Jednak mimo szalejącej w nim burzy uczuć trwał w bezruchu. Przecież Victoria jest jego partnerką w pracy. Znał ją, kiedy nosiła jeszcze warkoczyki. I wkrótce wyjedzie. Vic także się nie poruszyła. Podobało jej się, jak zarost na brodzie le-

ciutko kłuł jej wargi. Podobał jej się zapach ciepłej męskiej skóry. Nie było słychać nic poza ich oddechami. Mimo zmęczenia i lekkiego rauszu była świadoma wibracji, jakie się wokół nich pojawiły.

Lawson wciągnął powietrze. To wszystko jest takie pokręcone. Nie zamierzał popełnić czegoś niewybaczalnego. Odsunął się z ogromnym wysiłkiem.

- Idź spać, Victorio. To był długi dzień. - Wstał i spuścił rolety. - Kiedy się obudzisz, zostanie tylko osiemdziesiąt dziewięć dni.

Vic uśmiechnęła się do tej myśli, otulając się kołdrą. Oczy już jej się same zamykały.

- Dobranoc, Lawson. Kolorowych snów.

Lawson patrzył na nią przez chwilę, zanim się odwrócił i wyszedł. Kolorowych snów? Dobre żarty. Tego wieczoru coś się między nimi zmieniło. Granice się przesunęły. A wspominając dotyk jej ust na swojej brodzie, będzie miał szczęście, jeśli w ogóle zaśnie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Lawson obudził się, gdy Matilda palcem uniosła mu powiekę. Nadludzkim wysiłkiem zmusił się do uniesienia powiek. Spojrzał na zegar. Za trzy szósta. Jęknął głośno. Dlaczego jego córka nie może, jak inne dzieci, budzić się o ludzkiej porze?

- Dzień dobry, Tilly.

- Tatusiu, dlaczego śpisz na kanapie? Zasnąłeś przy telewizji?

Lawson usiadł, przecierając twarz.

- Nie. W moim łóżku śpi Victoria.

Twarz Matildy rozjaśniła się uśmiechem.

- Vic jest tutaj? - Podskoczyła z radości, klaszcząc w ręce.

- Ciii... - położył palec na wargach dziewczynki - nie rób hałasu.

- Czy mogę ją obudzić, tatusiu?

- Nie możesz.

Zmierwił jej blond loczki. Była to jedyna cecha, którą Matilda odziedziczyła po matce. Wszystko inne miała po nim.

- Wczoraj miała trudny dzień z powodu wypadku Ryana. Potrzebuje snu.

- Czy obudzi się, zanim pójde do szkoły? - indagowała dziewczynka.

Przeciągając się, wstał z kanapy.

- Wątpię.

- Chciałam zapytać, ile dni jeszcze jej zostało.

- Osiemdziesiąt dziewięć - odrzekł automatycznie.

Był wtajemniczony w to odliczanie przez ostatnie dwanaście miesięcy. Jakby liczby były wyryte w jego duszy.

Matilda szczupłymi ramionkami otoczyła ojca w pasie.

- Będę za nią tęskniła, tatusiu.

Lawson uśmiechnął się do córki.

- Wszyscy będziemy tęsknili, Tilly.

Uścisnął córeczkę, myśląc jednocześnie o wczorajszym pocałunku Victorii. Właściwie nie miał pewności, czy był to pocałunek.

Przez następne dwie godziny oddawali się zwykłymi porannymi zajęciami. Lawson bezskutecznie próbował strofować Matildę, by nie robiła hałasu, ale na szczęście Victoria wciąż spała.

Odwiózł córeczkę do szkoły. Po drodze Tilly szczebiotała o swojej nauczycielce i wycieczce, na którą klasa wybierała się za kilka tygodni. Przypominała mu Victorię, która też chyba uważała, że ciszę należy wypełniać.

- Czy Maddy może przyjść do mnie po południu? Pracujemy razem nad projektem piratów, a ona nie ma w domu internetu.

Lawson jęknął w duchu. Był tak zmęczony, że mógłby spać przez tydzień. Ostatnią rzeczą, jakiej by dzisiaj chciał, to obecność chichoczącej Maddy.

- Jasne. Zadzwońię do jej mamy, zanim odbiorę was ze szkoły. Jej numer jest chyba na lodówce.

Zatrzymał się na podjeździe przed szkołą, a Tilly ucałowała go w policzek.

- Jesteś kochany.

- Jasne. Zmykaj już - odrzekł z uśmiechem.

Obserwował ją, gdy podeszła do Maddy, po czym obie pobiegły na boisko.

Nie do wiary, że osiem lat minęło jak z bicza strzelił. Doskonale pamiętał moment, kiedy po raz pierwszy zobaczył córkę. Była zawinięta w różowy kocyk. Wszystko miała różowe, od buczków po kokardkę we włosach. Miała dwa tygodnie i Deb podała mu ją, mówiąc:

- Nie mogę się nią zajmować.

Pamiętał, że patrzył na Deb, jakby postradała rozum. Kilka miesięcy wcześniej przespał się z nią parę razy, a teraz próbował zrozumieć, co do niego mówi. A mówiła, że z ich związku narodziło się dziecko, że jest ojcem i ma się nim zająć.

Wystarczyła chwila, by Matilda zawładnęła jego sercem. Spojrzał na jej usteczka, na maleńki różowy nosek, i przepadł. Jedno spojrzenie wystarczyło, by córka stała się dla niego wszystkim. I nie zamieniłby trudnej roli samotnego ojca, nieprzespanych nocy, a nawet chichoczącej Maddy, na nic innego.

Zanim całkiem zniknęła mu z oczu, odwróciła się i pomachała jeszcze raz. Zrobiło mu się ciepło na sercu. Wracając do domu, uśmiechał się do siebie z dumą, że jego mała córeczka jest szczęśliwym dzieckiem.

Pomyślał o Victorii, która w wieku ośmiu lat straciła matkę i sama stała się zastępczą matką dla swoich nowo narodzonych braci bliźniaków. Kiedy to się stało, pracował razem z Bobem i dokładnie pamiętał, jak jego partner ciężko to przeżywał i jak trudne to było dla Victorii. Tilly nie знаła swojej matki. Zdawał sobie sprawę, że w przyszłości będzie to miało dla niej większe znaczenie niż obecnie, ale ponieważ nigdy nie zaznała, jak to jest mieć matkę, nie przeżywała jej straty.

Zrobiliby wszystko, by ochronić córkę przed tego rodzaju doświadczeniem, jakie spotkało Victorię. To był jeden z powodów, dla których w ciągu ostatnich ośmiu lat unikał angażowania się w jakiegokolwiek związku.

Dziesięć minut później Lawson zatrzymał się na podjeździe. Samochód Victorii wciąż stał na ulicy. W domu, już gorącym od porannego upału, panowała cisza. Nic nie wskazywało na to, by Victoria wstała. Drzwi do sypialni wciąż były zamknięte, a w zlewku nie zauważył kolejnego kubka po kawie.

Ziewnął, wciąż skonany po bezsennej nocy, kiedy próbował nie myśleć o pocałunku i prawie nagiej Victorii w swoim łóżku. Na nic zdało się wmawianie sobie, że takie myślenie jest niewłaściwe. Wyczerpany, zasnął dopiero nad ranem.

W tej chwili niczego bardziej nie pragnął, jak wrócić do swojego łóżka w ciemnej chłodnej sypialni. Ale śpi w nim Victoria, więc jedynym wyjściem jest kanapa. Rzucił się na nią, ściągając uprzednio koszulę, i natychmiast zapadł w sen.

Vic budziła się powoli, zdezorientowana ciemnością. W końcu przypomniała sobie, że leży w łóżku Lawsona. Leciutko się zaśmiała. Ileż to razy marzyła o tym w ciągu ostatnich lat?

Odwróciła głowę - nie, nie ma go obok. Jej spojrzenie padło na stojący przy łóżku budzik. Dziesiąta trzydzieści. Cholera!

Usiadła. Ryan. Powinna już być w szpitalu. Dlaczego Lawson pozwolił jej tak długo spać?

Musi jechać do domu, zadzwonić do ojca, wziąć prysznic, zmienić ubranie i dostać się do szpitala.

Szybko ubrała się i wypadła z sypialni, zastanawiając się, gdzie są jej buty i torba. Skierowała się do salonu, okrążyła kanapę i zobaczyła na niej Lawsona. Na chwilę zamarła, mając nadzieję, że go nie obudziła. Potem powoli wypuściła powietrze, spoglądając na jego nagą skórę.

Wyglądał naprawdę wspaniale. Pięknie uformowana klatka piersiowa równomiernie unosiła się i opadała. Poniżej napinały się twarde mięśnie brzucha. Pod dżinsami rysowały się szczupłe biodra i długie nogi. Jedną rękę odrzucił nad głowę, zakrywając przedramieniem oczy i połowę twarzy, druga spoczywała na muskularnym udzie.

Ogarniając wzrokiem całą jego sylwetkę, Vic poczuła skurcze w dole brzucha. Jej piersi napięły się boleśnie. Zakręciło jej się w głowie jak po alkoholu.

Było coś pierwotnego w tym, jak na nią działał. Jego ciało, nawet zrelaksowane snem, emanowało męskością. Jakby mówiło: Jestem silny, twardy, sprawny. Jestem mężczyzną. Tysiące lat ewolucji i stulecie feminizmu nie mają tu nic do rzeczy.

Ponownie zamarła, gdy lekko odwrócił głowę w jej stronę. Gorączkowe sygnały w jej mózgu błyskały ostrzegawczo: Przestań pożerać go wzrokiem i wynoś się stąd!

Zaczęła szukać swoich butów. Leżały przy kanapie, więc podczołgała się, by je zabrać. Ale to sprawiło, że znalazła się jeszcze bliżej Lawsona i gdy uniosła głowę, jego twarz była tuż obok. Poorana bruzdami, naznaczona blizną, była to twarz prawdziwego mężczyzny.

Gdy przymknęła powieki, wróciły wspomnienia wczorajszego wieczoru: jak całowała jego bliznę, jak czuła na wargach lekkie klucie jego zarostu... Przyłożyła palec do ust z uczuciem, jakby to wszystko stało się przed chwilą. Przez ułamek sekundy pragnęła znowu go całować.

Otworzyła oczy i oprzytomniała. Za osiemdziesiąt dziewięć dni już jej tu nie będzie. Przez pięć lat ukrywała swoje zauroczenie, tak więc z pewnością może to robić jeszcze przez następne trzy miesiące.

Nie patrząc już na śpiącego mężczyznę, zgarnęła pantofle i wyszła domu.

Kilka dni później Lawson i Vic siedzieli na pierwszym dziennym dyżurze po kilku nocach. Właśnie przetransportowali do szpitala pacjenta z kontuzją ręki i postanowili chwilę odpocząć. Vic upiła pierwszy łyk kawy, gdy rozległy się sygnały ich pagerów.

- Ofiara niedoszłego utonięcia na Watole Beach - przeczytał Lawson. - Dwudziestoczteroletni mężczyzna.

Vic popatrzyła tęsknie na kawę, upiła kolejny łyk i wstała.

- Lepiej weźmy samochód z napędem na cztery koła - zasugerowała.

Na wyspie do dyspozycji ratowników były trzy karetki. Dwa standardowe vany, którymi posługiwano się na co dzień, i trzeci, ciężki 4WD, używany zwykle wtedy, kiedy trzeba było dojechać do pacjenta po piasku.

Vic otworzyła drzwi po stronie kierowcy. Dzisiaj była jej kolej na pracę przy pacjencie, czyli normalnie samochód prowadziłby Lawson, ale w przypadkach wymagających intensywnej terapii Vic chętnie mu ustępowała. Pacjent mógł na przykład potrzebować intubacji, do wykonywania której nie miała jeszcze uprawnień, więc i tak on musiałby to zrobić.

Lawson potwierdził przyjęcie wezwania w systemie komputerowym, w jaki wyposażony był ambulans, zawiadamiając centralę o ich wyjeździe.

- Myślisz, że to turysta? - spytała Vic, włączając syrenę.

Wzrastała wśród małej społeczności wyspy i często знаła ludzi, do których ich wysyłano. Było to dla niej dużym stresem, bo w razie poważnego wypadku zdarzało jej się reagować emocjonalnie. Dlatego wyczekiwała wyjazdu do Londynu, gdzie mogła liczyć na anonimowość pacjentów. Już za osiemdziesiąt pięć dni.

Lawson słuchał jej jednym uchem. On sam wołał po drodze zachować ciszę, zastanawiając się nad różnymi wariantami przyszłej akcji ratowniczej. Victoria wypełniała ciszę nerwową paplaniną. Pozwalał jej na to, wiedząc, że zanim dotrą na miejsce, będzie całkowicie gotowa do profesjonalnego działania.

A dziś z pewnością było to lepsze niż rozmowa o tym, co zdarzyło się kilka dni temu. Dotąd udało im się jej uniknąć. Ale tkwiło to między nimi, oboje to wyczuwali.

- Po tamtej stronie nie ma osłony, a jest duży wiatr - mówiła. - Większość miejscowych wie, że w takiej sytuacji tworzą się tam duże fale.

- Taak - przytaknął.

- Do licha, mamy świetne strzeżone plaże - ciągnęła, odrywając na chwilę oczy od drogi, by na niego spojrzeć. - Dlaczego nie mogą tam pływać?

W przeciwieństwie do najbardziej popularnych plaż wyspy Watole nie była patrolowana przez ratowników. Stanowiła niewiadomą i mózg Vic już pracował nad tym, z czym mogą się tam spotkać. Czy pierwsza pomoc już została wezwana do nieszczęsnej ofiary kamienistego wybrzeża Watole?

- Nie wiem.

- Pomyśl, jest poniedziałek, pierwsza po południu. Na plaży Banksia jest o tej porze zupełnie luźno. Dlaczego nie mogli pójść tam, na miłość boską?

- Uhm.

- Ale nie. Muszą iść tam, gdzie jest trochę bardziej niebezpiecznie. Trochę większe wyzwanie. Ojciec się wścieknie, kiedy się dowie.

Lawson wiedział, że Bob każde utonięcie na wyspie bierze sobie do serca. Wprawdzie po incydencie z palcem Ryana wziął wolne do końca tygodnia i wyjechał z bliźniakami na kemping, ale wciąż był na wyspie. A wiadomość o wypadku obiegnie ją w ciągu kilku godzin i Bob dowie się jako jeden z pierwszych.

Gdy zbliżali się do plaży, ujrzeli na parkingu wymachującego do nich nastolatka, wskazującego na grupkę ludzi. Vic wjechała na plażę we wskazanym kierunku.

Wiatr wzbijał fale, które z impetem uderzały w nabrzeże. Z daleka widziała kamienisty cypel, gdzie jako dziecko spędziła wiele letnich wakacji, odkrywając liczne w tej okolicy jaskinie.

Lawson wyskoczył, zanim zdążyła zahamować, i natychmiast pobiegł do tylnych drzwi, by wyjąć sprzęt ratunkowy: pulsoksymetr do badania tętna i utlenienia krwi, defibrylator i tlen.

- Weź koce - rzucił przez ramię, już biegnąc w kierunku grupy ludzi.

Vic chwyciła dwa koce i ruszyła za nim. Gdy dotarła do pacjenta, Lawson klęczał na mokrym piasku, podłączając maskę tlenową, podczas gdy pięć rozhisteryzowanych dziewcząt w mokrych bikini mówiło do niego jednocześnie.

- Przepraszam - powiedziała głośno, przeciskając się przez tłumek.

Uklękała przy topielcu, zarzucając na niego koc. Leżał na wznak i dyszał jak ryba pozbawiona wody. Szary kolor skóry wskazywał na wyziębienie. Usta, pokryte piaskiem, zdążyły już przybrać barwę ciemnego fioletu. Na szczęście był przytomny.

- Podamy ci tlen, Michael - powiedział Lawson, zakładając chłopakowi maskę.

Vic przetarła klatkę piersiową ofiary suchą szmatką, umocowała na niej elektrody defibrylatora i podłączyła kabel. Na monitorze ukazała się ostra zielona linia. Na palcu Michaela umieściła pulsoksymetr. Tętno było nieco za wolne, a wysycenie krwi tlenem wahało się w granicach osiemdziesięciu procent - daleko od normy.

Od Jacinty, która przedstawiła się jako siostra Michaela, Vic usłyszała przerywaną łkaniem historię.

- Uderzyła w niego wielka fala. Nie wynurzył się spod niej - mówiła dziewczyna.

Vic wypisała na karcie pacjenta jego dane personalne i odnotowała wyniki pomiarów oraz bezpośrednie obserwacje.

Skóra Michaela powoli traciła szary kolor, utlenienie krwi się podnosiło. Wreszcie jęknął, zakasłał i zaczął wyrzucać z siebie wodę. Lawson szybko usunął mu maskę i ułożył go na boku. Włączył przenośny ssak.

- Już w porządku, chłopie - mruknął, przytrzymując rurkę, której Michael chciał się pozbyć. Kiedy przestał wykrztuszać wodę, Lawson ponownie nałożył mu maskę. - Zabieramy go stąd.

Dziesięć minut później Michael leżał w karetce pod opieką Lawsons. Vic prowadziła, informując jednocześnie przez radio centralę, że przyjadą z poszkodowanym do szpitala mniej więcej za dwadzieścia minut. Obok niej siedziała okryta kocem Jacinta.

Po godzinie Victoria skończyła wypełniać dokumenty. Przekazała je dyżurnej pielęgniarce i skierowała się do ambulansu. Lawson opierał się o ścianę przy wyjściu, otoczony dziewczynami z plaży, które wciąż miały na sobie tylko skąpe bikini. Pozbierały się już po szoku i okazywały swą wdzięczność przystojnemu ratownikowi.

Vic uśmiechnęła się, słysząc pytanie, ilu ludzi już uratował. Stanęła za dziewczynami i puściła do Lawsons oko. Rzucił jej spojrzenie z wymownym przekazem: „Zabierz mnie stąd”.

- Gotowy?

Lawson, wdzięczny za przerwanie tej sceny, zgniótł plastikowy kubek po kawie i oderwał się od ściany.

- Pamiętajcie - powiedział, wrzucając kubek do pobliskiego kosza - następnym razem pływajcie na strzeżonej plaży.

- Tak, Lawson, obiecujemy - odrzekła Jacinta. - I jeszcze raz dziękuję za uratowanie życia mojemu bratu. - Dotknęła jego ręki. - Nigdy nie zapomnę, co zrobiłeś dla Michaela.

- Jasne. - Lawson opuścił krąg dziewcząt. - Cześć!

- Cześć - odpowiedziały chórem.

Vic spojrzała na niego przez ramię, jak odprowadzały go wzrokiem. Pewnie nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby zrobił im jakąś akcję ratunkową metodą usta-usta. Mimo woli zirytowało ją to. Jej wargi ponownie zadrżały na wspomnienie pocałunku. Choć uporczywie unikali rozmowy na ten temat, to wciąż tkwiło w jej głowie. Umierała z ciekawości, co Lawson myśli. A może w ogóle o tym nie myśli? Czy dlatego o tym nie wspomniał? Z jakiegoś powodu wydało jej się to jeszcze bardziej irytujące.

- „Och, Lawson, jesteś taki odważny” - zaczęła przedrzeźniać dziewczyny z plaży, gdy wsiedli do samochodu.

Lawson zmarszczył brwi.

- Odczep się.

Zaśmiała się i kontynuowała przekomarzanie, przybierając namiętny ton i dotykając jego ręki: „Ach Lawson, nigdy cię nie zapomnę”.

- Wystarczy. - Zapiął pas, odsuwając jej rękę.

- Podbiłeś kolejne serca.

- Proszę cię. Jestem dość stary, żeby być ich ojcem. A właśnie - spojrzał na zegarek - wygląda na to, że zdążymy na teleturniej dla dzieci.

Vic entuzjastycznie pokiwała głową. Lubiła rytuał dziennych dyżurów tak samo jak Lawson, a dziś szczególnie cieszyła się na myśl o towarzystwie Matildy, które pozwoli jej zapomnieć o własnych rozterkach.

- Tatusiu!

- Tilly! - Lawson uśmiechnął się, wyciągając rękę do Matildy, która wybiegła do niego, gdy tylko karetka pojawiła się na podjeździe. Z piskiem rzuciła mu się w ramiona.

- Czego się dzisiaj nauczyłaś w szkole?

- Panna Simpson nauczyła nas tabliczki mnożenia do ośmiu.

- O, naprawdę? To ile jest osiem razy zero?

Matilda zaśmiała się.

- Tatusiu, to łatwe.

Vic stała oparta o samochód, obserwując ojca i córkę. Dzieciak Lawsons był wspaniały. I to dzięki niemu. Deb zostawiła go z niemowlakiem, a on przyjął to bez mrugnięcia okiem. Potrafił też całkowicie zmienić swoje życie i poświęcić się wychowaniu córki.

Vic czuła, że łączy ją z dziewczynką niezwykła więź. Matilda też wychowywała się bez matki, i to mocno chwyciło ją za serce. Wprawdzie dziewczynka nigdy nie знаła swojej mamy, niemniej ich sytuacja była podobna. To dzięki Lawsonowi Matilda jest szczęśliwym dzieckiem.

- Vic! - krzyknęła i rozpromieniona pobiegła w jej kierunku. - Vic! Vic!

Objęła ją w pasie, podskakując z radości.

Vic czule uściskała kochaną kruszynkę. Będzie jej brakowało dziewczynki, jej radości życia i bezwarunkowej miłości, jaką ją obdarzała.

- Zaczyna się teleturniej dla dzieci.

Vic podniosła wzrok na Dorothy, opiekunkę Matildy, która właśnie stanęła w drzwiach. Emerytowana nauczycielka z przyjemnością zajmowała się dziewczynką, gdy była taka potrzeba.

- Tak, wiem. Chodź, Vic. Chodź, tatusiu. - Matilda pociągnęła oboje za rękę. -

Panna Simpson mówi, że to jej ulubiony program. - Matilda popatrzyła znacząco na ojca.

- Ona jest naprawdę ładna.

- Wiem. Znam pannę Simpson, zapomniałaś?

Następne pół godziny minęło jak zwykle, gdy praca i pager pozwalały im na krótką popołudniową wizytę u Matildy. Po dziennym dyżurze Lawson wracał do domu, gdy

dziewczynka już spała, więc jeśli tylko mógł, korzystał z przerw w pracy, by spędzić z nią w ciągu dnia choć kilka chwil.

Wszyscy stłoczyli się na kanapie przy kawie i domowych ciasteczkach przygotowanych przez Dorothy, wrzeszcząc do telewizora i współzawodnicząc w rzucaniu odpowiedzi. Vic uwielbiała te momenty. Matilda trzymała ją za rękę i wydawała się spijać z jej ust każde słowo. To przypominało jej dawne chwile spędzane z mamą, kiedy sama była małą dziewczynką.

Lawson miał szczęście, że mógł spędzać takie chwile z córką, i dobrze o tym wiedział. Była to jedna z zalet pracy w małej społeczności. Coś, co ona straci w gigantycznym i anonimowym Londynie.

Nie, żeby miała tęsknić za życiem tutaj, pomyślała. Po osiemnastu latach pomocy w wychowaniu braci, spętana wrodzonym poczuciem odpowiedzialności, była naprawdę gotowa wyfrunąć z gniazda. To był jej czas i zamierzała z niego skorzystać. Niezależnie od zauroczenia. I od pocałunku.

Podczas teleturnieju ich pagery na szczęście milczały. Potem Matilda poszła na lekcję muzyki, a Vic i Lawson znów byli w drodze.

W czasie jazdy Vic zwróciła się do Lawsona:

- Wiem, że się powtarzam, ale masz naprawdę wspaniałe dziecko.

Spojrzał na nią. Victoria i jego córka doskonale do siebie pasowały. Dlaczego więc Matilda, która przez ostatnie pół roku próbowała go wyswatać z każdą dostępną na wyspie kobietą przed dziewięćdziesiątką, nie próbowała tego w stosunku do Victorii? Czy dlatego, że ta była zawsze obecna w ich życiu, bardziej jak starsza siostra niż przyszła matka? A może Matilda też uważała taki pomysł za całkowicie niedorzeczny?

Vic poczuła na sobie jego wzrok.

- Co? - zapytała, rzuciwszy mu krótkie spojrzenie.

- Dobrze się dogadujecie.

- Wychowałam swoich braci od dziecka. Znam się na dzieciach.

- Byłabyś dobrą matką.

- O nie! - Żywo potrząsnęła głową. - Nie ma mowy. Nigdy więcej. Już wychowałam swoje dzieci.

Znał ten protest. Słyszał go z jej ust wiele razy. Nie miał jej tego za złe, ale uważał, że byłaby to niepowetowana strata.

- W porządku.

Vic potrząsnęła głową, myśląc, jak często w jego umyśle zmienia się jej obraz. Dzisiaj widział ją jako matkę. Innego dnia była jego partnerką w pracy albo siostrą Ryana i Josha czy córką Boba Dunleavy'ego. Ale była przekonana, że głównie postrzega ją jako sześciolatkę, którą była, gdy spotkał ją po raz pierwszy.

Dlaczego nie mógł widzieć w niej dorosłej osoby? Może przypomnienie, że była w pełni dojrzała i gotowa wyfrunąć z gniazda, zmusi go do ujrzenia jej w innym świetle? Może dostrzeże w niej wreszcie kobietę?

- Hej, mówiłam już dzisiaj, że zostało tylko osiemdziesiąt pięć dni?

Lawson odwrócił od niej głowę i spojrzał w okno.

- Raz czy dwa - odparł sucho.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Złowrogie szare fale wtaczały się na plażę, uderzając o piasek z nieubłaganą siłą nadchodzącego przyływu. Stali oparci o jeden z drewnianych pali ogrodzenia okalającego parking przy plaży Watole. Wiatr zawodził wokół, targając włosy Vic z jej końskiego ogona. Energicznie potrząsnęła głową, gdy zarzucił jej na twarz kilka pasm. Upiła łyk kawy, kuląc się w swoim służbowym kombinezonie.

- Będzie mi brakować oceanu - uniosła głos, by przekrzyczeć ryk wiatru i fal.

Lawson ogrzewał sobie dłonie na styropianowym kubku.

- Nawet w takie dni jak ten?

Skinęła głową. To prawda, że pogoda była kiepska, ale nie ma to jak rozpasany ocean, by poczuć, że naprawdę się żyje. Vic uwielbiała jego wzburzone wody i tę niezwykłą organiczną więź z żywiołem, jaką wtedy odczuwała.

- Szczególnie w dni takie jak ten.

Lawson pokręcił głową. To był pomysł Victorii, by na popołudniową kawę przyjechać do Watole. Plaża była wyludniona. Było tylko ich dwoje, dość głupich, by rzucić wyzwanie tej okropnej pogodzie.

Osobiście wolałby siedzieć w zamkniętym pomieszczeniu, ale Victoria nalegała, by w czasie przerw w pracy wychodzić na dwór. Do jej wyjazdu zostało tylko siedemdziesiąt dni, więc godził się na to, niezależnie od pogody, myśląc, że próbuje zachować w pamięci jak najwięcej obrazów ukochanej Brindabelli.

Zawsze była zakochana w wyspiarskim stylu życia. Już w wieku dziesięciu lat opublikowała w lokalnej gazecie wiersz zatytułowany „Moja wyspa”, a teraz intensywnie działała w Komitecie Rozwoju Wyspy.

Brindabellę miała we krwi, a Lawson ani przez chwilę nie miał wątpliwości, że rozstanie z nią nie będzie dla Victorii łatwe. Spojrzał na zegarek.

- Dość już się napatrzyłaś?

Vic wysączyła do końca swoje cappuccino, trzymając kubek zgrabiętymi palcami.

- Nie marudź. Gdzie twój zew przygód?

- Umarł z hipotermii jakieś dziesięć minut temu.

Podchodzili do samochodu, gdy w wyjąłym wietrze usłyszeli wołanie o pomoc.

- Słyszałeś? - zapytała Vic.

Trzymając rękę na klamce, odwrócił się w kierunku dobiegającego ich dźwięku.

Głos ponownie napłynął od strony nadmorskiego szlaku, toteż Lawson szybko ruszył w tym kierunku. Szlak nie był już uczęszczany, ale oboje wiedzieli, że prowadzi do odległego cypla.

Pojawiło się biegnące pędem dziecko. Dziewczynka nie wyglądała na starszą od Matildy, więc Lawson poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła.

- Pomocy! Musicie... pomóc! - Dziecko łąpało oddech, chwytając się jego boku.

Lawson uklęknął przy małej.

- Co się stało? - zapytał.

- Bella. Spadła... w dziurę... z klifu. - Dziecko wskazało cypel. - Jest w jaskini. Leży tam. Chyba coś się jej stało.

Na te słowa Vic poczuła przyływ adrenaliny. Spojrzała na wściekle bijące fale przyływu, myśląc, że jaskinie szybko napęlnią się wodą.

Lawson chwycił dziewczynkę za ramię.

- Ile lat ma Bella?

- Cztery - wydusiła.

Spojrzał na Victorię. Oboje wiedzieli, że sytuacja jest naprawdę poważna. Wstał.

- W porządku. Chodź z nami - powiedział, kierując się w stronę samochodu. Czas odgrywał teraz zasadniczą rolę. - Jak masz na imię?

- Annie. - Jej warga drgała. - Pete mówi, że tata nas zabije. Mówił nam, żebyśmy nie szli sami na cypel.

- Pete? - zapytała Vic.

- To mój brat. Został, żeby rozmawiać z Bellą, a ja pobiegłam szukać ratunku.

Na myśl o kolejnym dziecku na cyplu przy tej okropnej pogodzie przeszły jej ciarki po plecach.

Lawson zapalił silnik. Na szczęście mieli samochód z napędem na cztery koła. Połączył się z centralą.

- Centrala? Tu ambulans trzy zero pięć na Brindabelli. Przypuszczalnie czteroletnia dziewczynka wpadła do kamienistej groty na plaży Watole przy nadchodzącym przypiływie. Jedziemy zbadać sytuację. Kontakt za trzy minuty. Powiadomcie lokalne władze i najbliższą ekipę ratowniczą.

Vic ścisnęła rękę Annie. Dziewczynka zaczynała się trząść, więc zarzuciła jej na ramiona swoją kurtkę.

- Dobrze postąpiłaś. Przybiegłaś i wezwałaś pomoc. Jesteś bardzo dzielna, Annie.

Spojrzała na spiętą twarz Lawsona.

- Wydostaniemy Bellę, obiecuję ci.

Lawson spojrzał na nią ostro. Składanie obietnic, zwłaszcza zanim ocenili sytuację, było przedwczesne. Ale gdy zobaczył bladą twarzyczkę Annie, powstrzymał się od komentarzy. Biedny dzieciak potrzebuje jakiejś otuchy.

Samochód podskakiwał na wznoszącej się w górę zaniedbanej drodze. Wreszcie dotarli na parking.

- Bella jakoś przeszła przez barierkę - powiedziała Annie.

Gdy Vic była dzieckiem, usiany jaskiniami cypel nie był ogrodzony, ale po kilku wypadkach władze postawiły solidną barierę i teraz można było go oglądać tylko z wyznaczonych punktów widokowych.

Lawson pierwszy zauważył chłopca leżącego na stoku nad urwiskiem, wpatrującego się w dół. Skierował się ku niemu po kamieniach.

- Cześć, Pete.

Chłopiec podniósł zapłakaną twarz.

- Pospieszcie się. Myślę, że złamała nogę. I woda się podnosi.

- W porządku, chłopie. Teraz jest już bezpieczna - powiedział, modląc się w duchu, by rzeczywiście wszystko było w porządku. - Mogę zerknąć?

Vic i Annie dotarły na miejsce, gdy Lawson leżał już na brzuchu, wpatrując się w niewielki otwór. Próbował pojąć, jak w ogóle dziecko mogło się przezeń przedostać, gdy usłyszał ciche skomlenie. Przekrzywił głowę i kątem oka dojrzał trzy metry niżej pokryte futrem ciało. Bella to pies?

Wstał z westchnieniem ulgi i spojrział z uśmiechem na Vic, trzymającą w ramionach dzieci.

- Czy Bella to pies?

Annie i Pete przytaknęli ze smutkiem, jakby powinien wiedzieć to od początku.

Ramiona Victorii wyraźnie się rozluźniły.

- Bella to pies? - powtórzyła pytanie.

- To moja sunia - potwierdziła Annie. - Dostałam ją na urodziny, kiedy miałam trzy lata.

Victoria uśmiechnęła się do Lawsona.

- Pies.

Annie wysunęła się z uścisku Victorii.

- Ale ją wyciągniecie, prawda? Nie pozwolicie jej utonąć tylko dlatego, że jest zwierzęciem?

Oczy Pete'a rozszerzyły się ze zgrozy.

- Chcecie ją tam zostawić? - zapytał piskliwym głosem, wpatrując się w Lawsona.

Wraz z wiatrem dotarł do ich uszu odgłos sygnału karetki. Za chwilę połowa ratowników będzie na cyplu.

- Nie - zaprzeczyła Vic, kładąc dłoń na ramieniu Pete'a - Nie zostawimy jej tam. Nie martwcie się.

- Co tu mamy, Lawson?

Vic odwróciła się i ujrzała dwóch nadchodzących strażaków. Dalej przedzierało się przez ogrodzenie dwóch policjantów.

- Wszystko w porządku. - Lawson uspokoił ich gestem. - To nie dziecko. To pies.

Mężczyźni zatrzymali się. Zaczęli się śmiać i poklepywać po plecach.

- To nie jest zabawne. - Cieniutki głos Annie przebił się przez ich śmiech. Stała z dłonią na biodrze, wpatrując się z odrazą w uradowanych mężczyzn. Pete przesunął się bliżej siostry, która otoczyła go ramieniem.

- Annie? Pete?

Spojrzeli w stronę parkingu, skąd machali do nich kobieta i mężczyzna o zmartwionych twarzach.

- Ojej - wyszeptał Pete. Vic zbliżyła się do dzieci.
- Czy to wasi rodzice?
- Tak. - Mina chłopczyka powiedziała jej wszystko.
- W porządku. - Kiwnęła głową. - Ja się tym zajmę.

Para podeszła bliżej.

- O mój Boże - powiedziała kobieta, chwytając dzieci w objęcia. - Wszędzie was szukaliśmy. Wystraszyliście nas nie na żarty.

Vic zaczęła wyjaśniać sytuację, a pięć minut później rodzice dzieci, państwo Bradley, znacznie się uspokoili. Próbowali wyprowadzić dzieci ze stoku w bezpieczniejsze miejsce, ale te nie chciały ruszyć się z miejsca. Annie wywinęła się objęciom matki i wychekującą spojrziała na Vic i Lawsona.

- Co z Bellą? Musicie ją wydostać. - Dziewczynka rozplakała się w głos.

- Obiecuję ci, że zrobimy wszystko, żeby ją uratować - uspokajała ją Vic. - Nie mów mojemu tacie, ale jako dziecko bawiłam się w tych jaskiniach. Myślę, że wiem, jak do niej dotrzeć. Ale musicie wyjść za ogrodzenie i dać nam pracować, zgoda?

Annie wytarła dłonią spływające po buzi łzy.

- Obiecujesz, że się postarasz?

- Obiecuję. - Vic położyła dłoń na sercu.

Lawson obserwował Victorię z dziewczynką. Ile razy widział ją w takiej scenie z Matildą? Poczul przyływ emocji i odwrócił wzrok.

- No dobrze - powiedziała Vic do otaczających ją mężczyzn, gdy Bradley'owie się oddalili. - Myślę, że wiem, jak dostać się do Belli. Chodźcie za mną.

Lawson, dwóch strażaków, dwóch policjantów i ratownik ochotnik podążyli za Vic w dół zbocza.

- Minęło już kilka lat, kiedy ostatni raz tu byłam, ale myślę, że otwór, do którego wpadła Bella, prowadzi do głównej jaskini - informowała ich Vic, idąc po mokrych kamieniach. - Jest do niej kilka różnych wejść. Niektóre są za małe, ale sądzę, że przez jedno mogłabym dostać się do środka.

Poprowadziła mężczyzn do otworu, z którego korzystała jako dziecko. Woda przy-
pływu omywała już jej stopy, czas uciekał. Głaz, na którym Bella leży, wkrótce zostanie
zalany i jeśli - jak przypuszczali - złamała nogę, to nie ma szans na przeżycie.

Pionowa szczelina, przed którą stali, z łatwością mogło sforsować szczupłe dziec-
ko, ale nie dorośli. Patrzyli w zadumie na wąskie przejście. Vic zajrzała do środka. W
zanikającym świetle ledwie widziała psa.

- Wszystko w porządku, Bella! - zawołała. - Nadchodzimy, dziecinko.

Skomlenie, które usłyszała w odpowiedzi, łamało jej serce. Spojrzała na zebranych
mężczyzn. Żaden z nich nie był w stanie precyzyjnie się przez szczelinę.

- Wygląda na to, że mogę to zrobić tylko ja. Mogłaby się precyzyjnie, podejść po
skalnym występie do psa, chwycić go i podać szybko na zewnątrz, a potem przedostać
się z powrotem w ciągu zaledwie kilku minut. Nakreśliła mężczyznom swój plan. Law-
sonowi, który był coraz bardziej przerażony jej pomysłem, nagle zrobiło się przeraźliwie
zimno.

- Nie. - Potrząsnął głową. - Absolutnie się nie zgadzam.

Vic zamrugała powiekami.

- Przepraszam?

- To zbyt niebezpieczne. A jeśli się poślizgniesz? Albo nie będziesz mogła wyjść
na zewnątrz?

Vic czuła, jak rośnie w niej złość. Czy on myślał, że ona tego nie zrobi?

- Nie pośliznę się. I wyjdę. Znam te jaskinie, Lawson.

- Nie. Poczekamy na specjalistów.

Vic widziała, że spojrzenie Lawsons stało się zimne jak otaczający ich ocean. Za-
częła protestować.

- Bella nie ma czasu. Zanim tu dotrą, jaskinię zaleje woda.

- Moglibyśmy założyć jej szelki i wyciągnąć liną - zasugerował Stan, jeden ze
strażaków.

- Nie.

Rozwścieczona Vic go zignorowała.

- Dobry pomysł, Stan. Możesz przynieść je z samochodu? I zadzwoń do Douga, gdy już tam będziesz. Powiedz mu, że potrzebujemy weterynarza. Szybko.

Gdy inni odprowadzali wzrokiem Stana, Lawson skierował lodowate spojrzenia na swą partnerkę. Zawsze była skłonna do ryzyka i do niedawna wspierał to, podziwiając jej odwagę i energię. Ale tym razem było to zbyt niebezpieczne.

- Victoria, powiedziałem nie!

Vic oparła dłonie na biodrach i uniosła brodę.

- Mogę wejść z liną albo bez niej. Ale idę.

Mięsień w twarzy Lawsona drgnął.

- Nie mogę pozwolić ci nadstawiać głowy dla zwierzęcia, które upadło z dużej wysokości. Może mieć poważne obrażenia wewnętrzne i ich nie przeżyć. To zbyt ryzykowne.

- Mam ryzykowną pracę.

- Twój ojciec wypruje mi flaki.

- A czy ty zrobiłbyś to, gdybyś był dość szczupły? - Vic czuła narastającą frustrację.

Lawson wzruszył ramionami.

- Oczywiście.

Pokiwała głową. Znała jego odpowiedź.

- No właśnie. Przestań traktować mnie, jakbym wciąż była dzieckiem, Lawson. Jestem ratownikiem. To jest moja praca.

- Nie. To nie jest twoja praca. To jest praca ratowników dla zwierząt.

- Dzisiaj jest. Ratownicy zwierząt są daleko.

Lawsonowi zrobiło się niedobrze. Przez głowę przebiegały mu setki najgorszych możliwych scenariuszy.

- Jako twój zwierzchnik zabraniam ci to robić.

Vic nie wierzyła własnym uszom. Krew uderzyła jej do głowy. Mężczyźni wokół przestępowali z nogi na nogę, czując się niezręcznie. Popatrzyła w nieprzeniknioną twarz Lawsona i wyrzuciła z siebie ostatni argument.

- Lawson, obiecałam Annie. Czy gdyby to był pies Matildy, i gdybym jej to obiecała, nie chciałbyś mi pomóc? Pozwól mi to zrobić. Jestem dużą dziewczynką.

Lawson zdawał sobie sprawę, że Victoria ma rację. I gdyby był to ktokolwiek inny, kobieta, mężczyzna czy Marsjanin, kto mógłby przedostać się przez otwór, sam przywiązałby mu linę. Ale myśl, że jej mogłoby się stać coś złego, była nie do zniesienia.

- Lawson - położyła mu rękę na rękawie - uwierz we mnie.

Stan przyniósł szelki i kask. Wszyscy patrzyli wyczekująco na Lawsona.

- W porządku. Ale jak tylko się potkniesz, natychmiast stamtąd wychodzisz.

Chętnie by go uściskała, ale nie było na to czasu. Szybko założyła szelki i kask, z niecierpliwością czekając, aż skończy mocowanie liny.

- Lawson, już dość. Nadchodzi przypyływ.

Pociągnął ostatni raz za linę, sprawdził, czy kask jest porządnie zapięty, i wsadził jej latarkę za pas.

- Zanim tam wejdiesz, sprawdź, czy będziesz mogła się wydostać - rzucił i jako pierwszy stanął z liną przy wejściu do jaskini.

Inni ustawili się za nim, każdy chwytając za swój odcinek liny. Lawson wysłał jednego policjanta na górę, do otworu, przez który wpadła Bella, tak by kolejna para oczu mogła śledzić Victorię.

Vic precyzyjnie przeszła przez wąski otwór.

- Wchodzę.

- Bądź ostrożna - ostrzegł ją Lawson jeszcze raz.

Kiwnęła głową i odwróciła się. Mimo przebijającego tu i ówdzie światła w jaskini było ciemno. Powietrze było wilgotne i słone.

- Hej, Bella! - zawołała, wolno posuwając się po wąskim skalnym występie. - Już idę. Zaraz będę.

Skomlenie psa dodało jej otuchy i pozwoliło się skupić. Zapaliła latarkę. Przy świetle odgłos podpełzającego oceanu wydawał się mniej złowrogi.

Puls dudnił Lawsonowi w głowie, gdy obserwował Victorię wolno posuwającą się naprzód. Gotów był pociągnąć za linę, gdyby tylko Vic się potknęła. Nie słyszał nic poza waleniem własnego serca i rykiem fal, koncentrując się na jej ruchach.

W końcu, gdy przesunęła się w lewo, stracił ją z oczu i jego puls jeszcze przyspieszył. Wreszcie jej cień wyłonił się na przeciwległej ścianie jaskini i mógł odetchnąć z ulgą. Musiała zapalić latarkę.

- Ile ci jeszcze zostało? - zawołał.

Vic mogła teraz zobaczyć Bellę i uśmiechnąć się do dygoczącej psiny.

- Kilka metrów - odrzekła w kierunku wejścia, przekrzykując grzmot fal odbijających się w jaskini głośnym echem.

Odwróciła się w stronę psa. Cocker spaniel próbował się podnieść, ale ból wyraźnie mu w tym przeszkadzał.

- Zostań tam, Bella - rzekła łagodnie Vic, wyciągając rękę, by powstrzymać wysiłki psa.

Na moment straciła koncentrację. Jeden nieuważny krok w kierunku psa wystarczył, by pośliznęła się i upadła. Gdy chwyciła linę, latarka wypadła jej z ręki. Victoria spadła na skalne dno jaskini i została wciągnięta pod wodę.

Lawson poczuł szarpnięcie liny.

- Victoria! - huknął. Odwrócił się do mężczyzn stojących za nim. - Spadła. Ciągnijcie. Ciągnijcie, do cholery!

Mężczyźni natychmiast spełnili jego polecenie.

- Victoria! Victoria!

Poczuła, że jest ciągnięta. Szybko wydostała się nad powierzchnię wody, łapiąc oddech. Do oczu napłynęły jej łzy, gdyż z każdym kolejnym oddechem czuła ostry ból w okolicy żeber.

Napięta lina ciągnęła ją w górę, drapiąc policzek i rękę. Słyszała Lawsona, który z paniką w głosie wykrzykiwał jej imię. Nabrała powietrza, by mu odpowiedzieć, ale ból był zbyt silny. Serce waliło jej w piersi, pozbawiając tchu.

- Victoria! - Lawson wcisnął twarz w szczelinę, ale nie mógł jej dojrzeć. - Podnieś się! - krzyknął.

Leżała, przytrzymując się kamiennej powierzchni. Po chwili oddychanie stało się łatwiejsze. Z wysiłkiem usiadła.

- Lawson! - zawołała. Z jej ust wydobył się tylko szept, więc spróbowała znowu: - Lawson!

- Victoria? - Przechylił głowę, próbując ją dojrzeć. - Wszystko w porządku? Jak cudownie brzmi jego głos. Zapragnęła, żeby był tu obok niej.

- Tak, tylko nie mogę oddychać... - wydyszała.

- Trzymaj się. Wyciągniemy cię.

Vic spojrzała na Bellę, która skomlała i obserwowała ją mądrymi oczami. Widok udręczonego psa do głębi poruszył jej serce. Znowu poczuła napięcie liny i w efekcie została podciągnięta bokiem o dalszych kilkanaście centymetrów. Uraziło to jej już obolałe żebra, więc chwyciła linę.

- Stop! - krzyknęła z wysiłkiem.

Natychmiast poluzowano linę.

- Co się dzieje?

- Nic. - Chwyciła się ściany i podciągnęła do góry. - Nie wyjdę bez tego cholernego psa.

- Nie ma mowy! Wychodzisz! - krzyknął Lawson. - Nawet gdybym miał cię ciągnąć na plecach przez całą jaskinię.

- Nie myśl sobie, że nie odetnę tej liny, Lawson - zagroziła.

Zaklął pod nosem. Wierzył, że byłaby do tego zdolna. Zrobił głęboki wdech.

- Pospiesz się!

Tym razem nie odwróciła oczu od skalnego występu, po którym się poruszała. Na szczęście latarka wylądowała nieco dalej na półce, oświetlając jej drogę.

W ciągu minuty dotarła do Belli. Pies wydawał się wyczuwać cały dramatyzm sytuacji. Lizał z wdzięcznością wyciągniętą ku niemu dłoń.

- W porządku, Bella. Annie na ciebie czeka.

Widziała krew na tylnych łapach psa. Lewa wyglądała na złamaną.

- Przykro mi, piesku - pocieszała. - To będzie trochę bolało. Nas obie.

Mimo nasilającego się bólu w boku podniosła zranione zwierzę. Bella zaskowy-
czała.

- Cicho, piesku. Wiem, że boli. Idziemy.

Przytulila się do ciepłego psa. Była przemoczona i drżała z zimna.

- Mam ją! - zawołała. - Wychodzę.

W samą porę. Woda sięgała już półki skalnej, gdy Vic krok po kroku posuwała się w kierunku wyjścia, konając ze strachu przed ponownym upadkiem. Gdy zobaczyła Lawsona, niemal zapłakała.

- Widzę cię. Dobrze sobie radzisz - zauważył.

- Jeszcze kawałeczek. Nie spiesz się.

Kiwnęła głową. Było jej tak zimno, że szczękała zębami. Dotarła do otworu, gdzie po drugiej stronie stał Lawson. Gdyby nie pies, rzuciłaby się mu na szyję.

Nigdy nie wyglądał lepiej.

Lawson nie widział jej dobrze w ciemności jaskini, ale wiedział, że już dotarła do wyjścia.

- Podaj mi psa! - zawołał.

Jęk Vic mieszał się ze skowytem psa, kiedy przekazywała go Lawsonowi przez wąską szczelinę.

- Jej łapa jest w kiepskim stanie - powiedziała. - Bądź ostrożny.

Lawson delikatnie przejął zwierzę i podał je dalej. Doug już czekał wyżej na swojego pacjenta.

- Teraz ty. - Serce Lawsona znowu biło nieprzytomnie.

Wiedział, że się nie uspokoi, dopóki Victoria nie będzie bezpieczna.

Vic kiwnęła głową. Najpierw wystawiła ramię, by czegoś się chwycić, i wychyliła się na zewnątrz. Z powodu mokrego ubrania szczelina wydawała się węższa i ocierała jej zraniony bok, tak że z trudem łapała powietrze. W końcu wyłoniła się na światło dzienne.

Lawson objął ją mocno, owładnięty niewysłowioną ulgą. Wyglądała okropnie. Była sina, mokra i szczękała zębami. Miała podrapaną twarz i pokrwawione ręce. Skrzywiła się i wysunęła z jego ramion.

- Co się dzieje? - zapytał.

- Potłukłam sobie żebra - odparła lekkim tonem.

Spojrzał w jej oczy, w których malował się ból. Gdyby nie byli na kamienistym występie nad wzburzonym morzem, uniósłby ją w ramionach i poniósł na bezpieczny ląd.

- Chodźmy. - Otulił kocem jej drżące ramiona. - Musimy cię zawieźć do szpitala.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Przez następne dwie godziny Lawson działał jak automat. Lata praktyki w ratownictwie sprawiły, że bez zastanawiania wykonywał wszystkie czynności, nie myśląc o tym, że jego pacjentką jest Victoria.

Usadził ją z tyłu ambulansu, przyłożył elektrody i założył na palec pulsoksymetr. Gdy okazało się, że z powodu bólu Vic nie może zdjąć kombinezonu, rozciął go po prostu nożycami, nie zważając na jej protesty.

Sine stłuczenia pokrywały jej cały bok. Dokładnie zbadał palcami stłuczony obszar. Na szczęście nie stwierdził żadnych obrażeń wewnętrznych. Wysycenie krwi tlenem było prawidłowe, płuca czyste, a puls i ciśnienie w normie. Wreszcie otulił Victorię kilkoma kocami i poprosił Stana, by zawiózł ich do szpitala.

W czasie drogi Victoria drzemała, a Lawson czuwał, obserwując monitor. Gdy dotarli do szpitala, przekazał ją personelowi medycznemu wraz z dokumentacją.

Nie protestował, gdy otoczyli ją, odsuwając go na bok. Była teraz we właściwych rękach, a on ma co innego do zrobienia, zanim zacznie zastanawiać się nad wydarzeniami minionego przedpołudnia.

Wrócił na wyspę, odstawił karetkę, zorganizował zastępstwo na resztę dzisiejszego dyżuru i na dzień następny. Potem wpadł do domu Victorii i ruszył prosto do jej sypialni, by wybrać jakieś ubranie na zmianę.

W dolnej szufladzie znalazł luźne dresowe spodnie i rozciągnięty T-shirt. Kusilo go, by zajrzeć do górnej, z której wystawały interesujące fragmenty koronki, ale w końcu postanowił niczego więcej nie szukać. Victoria musi zadowolić się tym, co już wybrał.

Szybkim krokiem wyszedł z domu, wsiadł do samochodu i udał się ponownie do szpitala. Podczas jazdy pilnował się, by nie myśleć o jej bladej twarzy, pozbawionych

krwi ustach i zmierzwionych włosach. Za każdym razem, gdy jego umysł kierował się w stronę wypadku, świadomie koncentrował się na prowadzeniu samochodu wśród pojazdów popołudniowego szczytu.

W szpitalu lekarz poinformował go, że wyniki badań są dobre. Rentgen płuc i USG brzucha wykluczyły urazy wewnętrzne, a obserwacja pacjentki nie wskazywała na wstrząśnienie mózgu.

- Pacjentka miała dużo szczęścia, myślę jednak, że powinna zostać na noc w szpitalu - zakończył lekarz. - Na wszelki wypadek.

Vic, która leżała na szpitalnym łóżku w lekkim letargu, nagle otworzyła oczy.

- Nie - wykrztusiła.

Nienawidziła szpitala. Od czasu, gdy zmarła tu jej matka, szpitalny zapach zawsze kojarzył jej się z tamtym tragicznym wydarzeniem. W dodatku jej praca wymagała, by często przyjeżdżała tu z ofiarami wypadków, a i Ryan dopiero co był pacjentem. To wystarczy, nie miała zamiaru tu zostawać.

Lawson spojrział na nią surowo. Wyglądała okropnie. Lepiej, ale wciąż strasznie. Zadrapanie na jej lewym policzku było bardzo wyraźne.

- Zalecenie lekarza.

- Myślę, że gdyby ktoś nad tobą czuwał, mogłabyś wrócić do domu - odezwał się lekarz.

Lawson pokręcił głową.

- Jest sama. Jej ojciec i bracia wyjechali na weekend.

- Mogę zostać u Lawsonsów. - Vic rzuciła lekarzowi błagalne spojrzenie. - Dobrze?

Lawson zamrugnął powiekami. Kolejna noc pod jego dachem? Po tym, co stało się ostatnio, nie miał ochoty ryzykować.

- Lepiej ci będzie tutaj.

- Czuję się dobrze - nalegała. - Słyszałeś, co powiedział lekarz. To tylko środek ostrożności.

Lawson spojrział na nią z rozdrażnieniem. Czy celowo jest dzisiaj taka kłótniwa? Gdyby posłuchała go na cyplu, nie byłoby całej tej sytuacji. Skrzyżował ramiona na piersiach.

- Może taki, do którego należy się dostosować.

Vic zmarszczyła brwi. Czy perspektywa spędzenia z nią nocy jest aż tak okropna?

- Lawson, proszę.

Lawson wypuścił powietrze, poddając się temu, co nieuniknione.

- Dobrze.

- W porządku. - Lekarz skinął głową w chwili, gdy zabrzączał jego pager. - Przepraszam, ale nie mogę tu dłużej zostać. Możesz jechać - zwrócił się do Victorii - tylko zgłoś się do recepcji i podpisz dokumenty.

- Dziękuję - powiedziała Vic, odrzucając prześcieradło i zwieszając nogi z łóżka. - Przyniosłeś mi coś do ubrania? - spytała Lawsona.

Postawił obok niej papierową torbę i pomógł zejść z wysokiego łóżka. Wylądowała na stopach i lekko się zachwiała. Chwyliła jego dłoń.

- No to mamy jasność - warknął. - Zostajesz.

- Nie bądź głupi. Przez kilka godzin leżałam bez ruchu. To tylko naturalne zachwianie równowagi przy wstawaniu. Nic mi nie jest.

Lawson uniósł brwi.

- Naprawdę. A teraz poczekaj na zewnątrz. Muszę się ubrać.

- Przyślę ci do pomocy pielęgniarkę.

Vic prychnęła.

- O tak, jestem pewna, że właśnie o tym marzą. O księżniczce, która potrzebuje pomocy przy wkładaniu majtek.

- Jesteś za słaba, żeby się ubierać.

- W porządku. Więc zostań, tylko się odwróć. Chcę, żebyśmy wreszcie mogli stąd wyjść.

Przejrzała rzeczy, które jej przyniósł, szukając bielizny. Niczego takiego nie znalazła.

Już miała zapytać, gdzie są jakieś szorty, gdy myśl o tym, jak Lawson przeszukiwał jej szuflady, okryła jej twarz rumieńcem. Zrobił to czy nie?

Niezdarnie włożyła dres i bluzkę.

Kiedy poklepała go, by się odwrócił, poczuła się nagle niezręcznie. Wiedział, że nie ma nic pod spodem, toteż miała wrażenie, jakby stała przed nim naga.

Lawson usilnie starał się na nią nie patrzeć.

- W porządku. Chodźmy.

Zaprowadził ją do recepcji i usadził na krześle obok wyjścia. Sam zajął się wypisem ze szpitala, a potem poszedł po samochód. Vic była mu nieskończenie wdzięczna, że się tym zajął. Czowała się wykończona.

Pomógł jej wsiąść do swojego dużego terenowego samochodu i po minucie byli już w drodze na wyspę. Czekala, aż coś powie. Czekala na reprimendę, która powinna nadejść. Zdawała sobie sprawę, że go okropnie przestraszyła i że mogło się to naprawdę źle skończyć.

W połowie drogi nie wytrzymała.

- Po prostu to powiedz, Lawson.

Zacisnął zęby.

- Powinnaś zostać w szpitalu.

- Wiesz, że nienawidzę szpitali. I wiesz, że nie o to mi chodzi.

- Wiem, ale nie będziemy o tym rozmawiać. - Zerknął na nią. - Nie teraz.

- To nie było niebezpieczne - oświadczyła. - Tylko przez moment nie patrzyłam pod stopy. Nie mogliśmy po prostu tam stać i przyglądać się, jak tonie pies tej małej dziewczynki.

Lawson wziął głęboki oddech.

- Victorio, nie zamierzam teraz o tym rozmawiać. To dotyczy pracy, więc będziemy rozmawiać o tym w pracy.

Vic popatrzyła na jego zawzięty wyraz twarzy i poddała się. Uczciwie mówiąc, poczuła ulgę. Była zbyt zmęczona i miała wrażenie, że Lawson i tak nigdy nie spojrzy na ten incydent jej oczami. Przymknęła powieki i zapadła w drzemkę.

Obudziła się, gdy wjeżdżali na podjazd jej domu.

Zmarszczyła brwi. Mieli przecież jechać do niego. Czyżby zamierzał zostawić ją samą?

Jak dla mnie, może być. Nie potrzebowała jego opieki i jego humorów. Już raz dziś przeżyła chwile grozy, toteż nie była całkiem pewna, czy zostanie z nim sam na sam to dobry pomysł. Ostatnio, gdy byli sami w domu, pocałowała go. A teraz, kiedy otarła się o śmierć, czuła się jeszcze mniej odporna na jego urok.

Rozpięła pasy.

- Dzięki za podwiezienie, Lawson. Porozmawiamy jutro.

Uśmiechnął się do niej ponuro.

- O nie. Śpię na twojej kanapie.

Przewrotnie jakaś jej cząstka uradowała się z jego decyzji. Mimo dręczących ją obaw, nie chciała być dzisiaj sama.

- Ale... co z Matildą?

- Jest na urodzinach u koleżanki i tam zanocuje.

- Aha. - Wzruszyła ramionami.

Wiedziała, że nie powinna go przekonywać, że da sobie radę sama.

Była silną i niezależną kobietą, która potrafiła zadbać o siebie i innych przez długi czas. Nie potrzebowała jego opieki. Szczególnie, że wyzwał w niej takie dziwne uczucia. Ale w głębi czuła ulgę, że Lawson postanowił zostać. I mówiąc uczciwie, była zbyt zmęczona, by się sprzeczać. Jeśli chce spać na przykrótkiej kanapie, jego sprawa.

- W porządku.

Wysiadł, a potem pomógł Victorii opuścić samochód, podtrzymując ją za łokieć. Natychmiast po wejściu do domu oswobodziła się z uchwytu, bo ciepło jego dłoni promieniowało do miejsc, w których od dawna nie czuła tego rodzaju żaru.

Odwróciła się, nagle żałując, że mu uległa. Cisza domu dzwoniła jej w uszach, a przeszywająca świadomość bliskości silnego ciała Lawsona powodowała, że drżały jej ręce. Nie wiedziała, czy ma wybuchnąć płaczem, czy się do niego przytulić. Poczuli się nagle kompletnie wyczerpana, fizycznie i emocjonalnie.

Kiedy głośno ziewnęła, Lawson zarządził:

- Idź spać. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, jestem na kanapie.

Otworzyła usta, by zaprotestować, ale kolejna fala znużenia zdusiła jej opór. Spać, tak. Dać ciału odpocząć. I głowie.

Skierowała się do swojego pokoju, nie zwracając już uwagi na Lawsona. Była tak zmęczona, że nie wzięła nawet prysznicza ani nie zmieniła ubrania. Doczołgała się tylko do łóżka i opadła na nie bez sił. I choć była dopiero siódma trzydzieści, a Lawson o kilka metrów od niej, zasnęła jak dziecko.

Lawson przeciwnie, w ogóle nie mógł zasnąć. Przysiadł na kanapie, próbując zainteresować się programem telewizyjnym. Od czasu do czasu zaglądał do Victorii, która spała cały czas w tej samej pozycji, ani razu się nie budząc.

Teraz, gdy niebezpieczeństwo minęło i okazało się, że Victoria nie ma poważniejszych obrażeń, zaczął odreagowywać całe wydarzenie. W jego głowie wciąż na nowo pojawiała się chwila, gdy Vic się pośliznęła, a te straszne sekundy, które minęły, zanim znów usłyszał jej głos, przemieniały się w godziny.

Obsesyjnie powracał do niego obraz Victorii wyłaniającej się ze szczeliny. Podrapanej i poobijanej, z opadającymi na czoło mokrymi kosmykami, z pobladłą twarzą i sinyimi ustami. Co by było, gdyby pośliznąwszy się, złamała sobie kark? Co by było, gdyby została uwięziona pod wodą? Albo gdyby złamała nogę i nie była w stanie się ruszyć? Czy też połamała żebra, które przebiłyby płuca?

Próbował wyobrazić sobie, co musiałby powiedzieć ojcu Victorii, gdyby coś takiego się zdarzyło. Jemu, przyjacielowi, który uwielbiał swoją córkę i który już raz przeżył bolesną stratę ukochanej. Nie znajdował słów.

A co z nim? Byli partnerami w pracy przez pięć lat, ale znał ją znacznie dłużej - już dwadzieścia lat. I nie mógł sobie wyobrazić świata bez Victorii. To prawda, że wyjeżdżała za siedemdziesiąt dni i nie miał pewności, czy ją jeszcze zobaczy, ale to co innego. Wiedziałyby, że jest gdzieś w świecie i żyje swoim życiem.

O trzeciej w nocy te rozważania doprowadzały go już do szaleństwa. Zwlókł się z kanapy i zaczął myszkować w spiżarni. Właśnie znalazł popcorn, gdy usłyszał, jak Victoria zakasłała. Wstawił popcorn do mikrofalówki i poszedł sprawdzić, co się dzieje.

Poruszyła się i leżała teraz na plecach w poprzek łóżka. Oddychała równo i głęboko. Ale obok ulgi, jaką spowodował jej widok, pojawiła się myśl o jej zakrytym dressem ciele. Szybko wyszedł z sypialni.

Zabrał popcorn na kanapę i przez chwilę zmieniał kanały. W końcu wpadł na program reklamujący produkty do powiększania piersi. Po ekranie paradowały skąpo odziane panienki. Uznał, że absurdalna reklama będzie dobrą odskocznią od kłębiących się w jego głowie przeraźliwych myśli.

Victoria od czasu do czasu pokasływała. Zaniepokojony, właśnie miał iść i sprawdzić po raz kolejny, jak się miewa, gdy stanęła w drzwiach.

- Cześć.

Lawson omal nie zakrztusił się kukurydzą.

- Rany, przestraszyłaś mnie - powiedział.

- Zdaje się, że często to dziś robię - wyszeptała, siadając obok niego i zanurzając rękę w misce z popcornem. - Umieram z głodu.

- Jak się czujesz?

Patrzył, jak jej ręka z kukurydzą zmierza do ust.

- Poza tym, że jesteś głodna.

Po kilku godzinach snu czuła się znacznie lepiej.

- Obolała - odparła z pełnymi ustami - Właśnie wzięłam coś przeciwbólowego.

- Będzie cię bolało kilka dni.

Ujął jej rękę i obejrzał zadrapania, przeciągając po nich palcem.

- To musi piec.

Vic spojrzała na jego palec na swojej poranionej dłoni, która rozgrzewała się i zaczynała drżeć. Nie była pewna, czy to z powodu zadrapania, czy tego, jak Lawson na nią działa. Cofnęła rękę.

- Jutro będzie gorzej.

Jej palce zanurkowały w misce popcornu i ponownie wylądowały w ustach. Zwróciła uwagę na migotanie telewizora, zatrzymując wzrok na kolorowych obrazach półnagich dziewczyn.

- Lawsonie, co ty, na Boga, oglądasz?

- To tylko jakaś absurdalna reklama - odrzekł, sięgając po pilota.

Szybko wyłączył telewizor.

- O nie! - zakrzyknęła Vic, wrywając mu pilota z ręki. - Muszę to zobaczyć.

Lawson skulił się. Czuł się niezręcznie, przyłapany na oglądaniu czegoś tak dalece odbiegającego od jego normalnych zainteresowań.

Reklama przedłużała się. Kobiety ze sztucznie powiększonym biustem paradowały w kusych strojach, demonstrując działanie jakiegoś kremu.

Vic śmiała się tak bardzo, że musiała podtrzymywać swój obolały bok.

- Nie wiedziałam, że jesteś takim amatorem biustów, Lawson.

Zmarszczył brwi.

- Nie jestem.

- O, naprawdę?

Lawson sięgnął po pilota, ale ona chwyciła go pierwsza.

- To nie jest właściwa konwersacja dla partnerów z pracy.

Vic otrzeźwiała. Czy naprawdę tylko tak Lawson ją postrzega? Zawsze?

- Ale nie jesteśmy w pracy. Nie w tej chwili. Jesteśmy parą przyjaciół, którzy znają się od lat.

- No właśnie. Nie będę rozmawiał na takie tematy z kimś, kim opiekowałem się w dzieciństwie.

No i masz. Znowu. Ciągłe to robi, doprowadzając ją do szaleństwa. Sprawiając, że czuła się jak mała dziewczynka, podczas gdy on był dorosły.

Pomyślała, że jeszcze trochę go podrażni.

- Więc... wcale cię nie interesują?

- Victoria!

- No, przyznaj się. - Szturchnęła go w zębra. - Mogłam dzisiaj umrzeć. Odpuść mi i zaspokój moją ciekawość.

Lawson potrząsnął głową.

- Nie mogę uwierzyć, że się posunęłaś do takiego argumentu.

Vic uśmiechnęła się.

- Jestem bezwstydną, co? - Obserwowała w półmroku jego napiętą twarz. - No to jak?

Westchnął.

- Oczywiście podobają mi się piersi. - Odwrócił wzrok. - W końcu jestem mężczyzną, nie?

- A pośladki i nogi?

- Też.

- A co lubisz najbardziej?

Lawson skulił się.

- Lubię wszystko. Po równo. Całe kobiece ciało. - Zwrócił ku niej twarz. - Masz, czego chciałaś. Wystarczy?

Nie mogąc znieść intensywności jego spojrzenia, odwróciła wzrok w stronę telewizora.

Wystarczy? Absolutnie nie.

Nagle przygnębiona, śledziła wzrokiem ekran. Spojrzała na własne skromne piersi. Pozbawione stanika, robiły wrażenie jeszcze mniejszych. Może dlatego Lawson nigdy nie patrzył na nią inaczej jak tylko na koleżankę z pracy? Może dlatego nie dostrzegał w niej kobiety?

- Może sama powinnam użyć jakiegoś cudownego kremu? - zapytała. - Jak myślisz?

Lawson nie odważył się na nią spojrzeć.

- Twój biust jest w porządku.

- To tylko rozmiar B - narzekała.

- Twój biust jest w porządku - powtórzył, gapiąc się w ścianę.

Naprawdę? Lance najwidoczniej uważał inaczej. Bo gdyby tak nie było, to po co szukałby gdzie indziej? Na przykład u takiej Kathy. Może po prostu nie była dość pociągająca? Dość kobieca? Może gdyby miała większe piersi, faceci zauważyliby, że jest kobietą? I Lawson też by zauważył?

Vic odwróciła do niego głowę.

- Nawet nie spojrzalesz - mruknęła.

Mówił to, co chciała usłyszeć, tak jak wtedy, gdy była mała. Ale po wydarzeniach dzisiejszego dnia nie chciała być zbywana. Nie była już dziewczynką. Chyba mógłby już to dostrzec? Emocje chwyciły ją za gardło, pozbawiając tchu.

Lawson zacisnął zęby. Jeśli natychmiast się od niej nie uwolni, nie odpowiada za siebie. Wstał z kanapy i wsadził ręce do kieszeni.

- Victorio, myślę, że powinnaś wrócić do łóżka.

Wstała sfrustrowana, z oczami pełnymi łez. Zignorowała ból rozrywający jej bok. Ten, który czuła w sercu, był znacznie większy.

- Dlaczego to robisz? - zapytała.

Lawson spojrzał na nią czujnie.

- Co robię?

Po jej policzku potoczyła się łza, ale natychmiast ją otarła.

- Traktujesz mnie, jakbym wciąż była dzieckiem. Jakbym nie miała prawa do dorosłej rozmowy z mężczyzną.

Postąpił krok w jej kierunku.

- Victorio, proszę, nie płacz.

Skrzywiła twarz i potrząsnęła głową, zdecydowana powstrzymać potok łez.

- Po prostu, do cholery, odpowiedz na pytanie.

Pytanie. Co to było za pytanie? Usiłował w myślach odtworzyć ich rozmowę.

- Nie traktuję cię jak dziecko.

Bóg świadkiem, że w ciągu ostatniego roku wcale już nie myślał o tym, że Victoria była kiedyś dzieckiem.

Vic otworzyła oczy i prychnęła.

- Znowu to robisz. - Po jej twarzy potoczyły się łzy. - Traktujesz mnie tak, jakbym była małym dzieckiem, które można zlekceważyć.

Gdy płakała, czuł się bezradny, wręcz rozdarty. Pragnął ją przytulić, a jednocześnie uciec z tego domu, gdzie pieprz rośnie. Przeciągnął dłonią po włosach.

- Nie wiesz, co mówisz.

Vic stłumiła łkanie.

- No to sprawdźmy.

Lawson zamknął na chwilę oczy. Chciałby być wszędzie, tylko nie tutaj.

- Nie jestem przypadkowym facetem, z którym możesz konwersować o biustach. Jestem twoim partnerem z pracy.

Jego partner. Znowu są w tym samym miejscu.

- O Boże! - jęknęła. - Jestem kobietą, do diabła. Nie widzisz tego? Dojrzałą dorosłą kobietą. Wiem, dla ciebie jestem tylko... córką Boba, siostrą Ryana i Josha, jednym z ratowników, twoją koleżanką z pracy, ale...

Otarła łzy.

- Ja. Jestem. Kobieta. - Wyartykułowała każde słowo z osobna, bijąc się przy tym w piersi, żeby podkreślić ich znaczenie.

Czuła w sercu taki ból, jakby ktoś wbijał w nie rozpalone żelazo. Przetarła pięściami oczy. Pewnie wygląda okropnie.

Lawson patrzył na nią dziwnie.

- Nigdy nie widziałeś we mnie kobiety. Jestem tylko Vic. Dobra stara Vic. Ktoś, kogo można niańczyć i kto poda ci nosze. Nie piękna czy godna pożądania kobieta. Po prostu jeden z kumpli.

- Nieprawda - wyrwało mu się.

Wiedział, że nie powinien tego mówić, ale nie mógł patrzeć na jej łzy. O czym ona do cholery mówi? Niegodna pożądania? Nie piękna? Stała w migoczącym świetle telewizora, delikatna i bezbronna, a on pożądał jej tak bardzo, że aż go to przerażało.

Podszedł i chwycił ją za ramiona.

- Czy wiesz, jaka dzisiaj była moja pierwsza myśl, kiedy się pośliznęłaś? Kiedy krzyknęłaś?

Zamknął na chwilę oczy, przywołując ten obraz.

Vic, świadoma bliskości Lawsons, z bijącym sercem czekała na dalszy ciąg. Wyczekiwanie na jego słowa było bardziej przerażające niż zimno, strach i dezorientacja w jaskini.

- Pomyślałem, że nigdy nie miałem szansy cię pocałować.

Serce Vic zatańczyło z radości. A więc myślał o tym?

- Całowałeś mnie wiele razy - wyszeptała.

- Nie. Nie tak.

I klnąc z cicha, nie dając sobie czasu na myślenie, przywarł do jej warg ustami. Nie był to delikatny pocałunek. Był gorący i zaborczy. Jęknął, gdy poczuł jej przyzwolenie.

Czas zatrzymał się na kilka magicznych chwil, zanim Lawson odzyskał zdrowy rozsądek. Oderwał się od ust Victorii, wykazując samokontrolę, której istnienia nawet u siebie nie podejrzewał. Odsunął potem Vic, ciągle mocno trzymając za ramiona.

- Jesteś piękną i godną pożądania kobietą. Niech ci nie przyjdzie do głowy, że tego nie dostrzegam.

Cofnął się, wkładając ręce do kieszeni.

Jego słowa były dla Vic jak pieszczota. Wprawdzie odsunął się, ale w jego oczach nadal widziała pożądanie. Przesunęła językiem po wargach, delektując się smakiem, jaki na nich pozostał. Chciała więcej.

Wzięła głęboki oddech i zapytała:

- Dlaczego to przerywać?

- Bo to jest szaleństwo. - Jak urzeczony wpatrywał się w jej wilgotne wargi. - O Boże, byłem na pogrzebie twojej matki. Miałaś osiem lat.

- Nie mam ośmiu lat. Już od dawna.

Chwyła jego dłoń i przyłożyła ją do swojej piersi. Lawson przełknął ślinę.

- Victoria! - jęknął.

- Lawson - wyszeptała, przysuwając się bliżej. - Czy możesz chociaż raz, tylko raz, być wdzięczny za to, że jesteśmy tutaj razem i zrobić to, czego naprawdę pragniesz?

- Nie. Tak nie można.

Wpatrywał się w swoją dłoń na jej piersi.

- Nie chcę tego - rzekł gwałtownie, choć jego głos zmieniło pożądanie.

Nie przejęła się tym zaprzeczeniem. W drzeniu jego głosu usłyszała, jak bardzo jej pragnął.

- W porządku. Ja chcę tego za nas oboje.

Uniosła się na palcach i otoczywszy jego szyję ramionami, ponownie zaczęła go całować.

Muskała wargami jego wargi, wodziła językiem wzdłuż linii jego zamkniętych ust, aż wreszcie przestał się opierać. Oddał jej żarliwie pocałunek, a ona, zapomniawszy o swoich poranionych dłoniach, zerwała z niego koszulę i przywarła ustami do jego cie-

płego torsu. Lawson poczuł, jak mgła w jego głowie się przerzedza i wraca rozsądek. Jakim cudem jego koszula znalazła się na podłodze?

- No no, chyba się trochę rozpędziliśmy.

Vic uśmiechnęła się pod nosem.

- Nie jestem nastolatką ani dziewicą, Lawson. Nie potrzebuję zalotów ani stałego związku. Za siedemdziesiąt dni wyjeżdżam i dzisiaj chcę właśnie tego.

Opuściła głowę, całując jego piersi.

Zmysłowość jej głosu sprawiła, że Lawson ściągnął jej bluzkę przez głowę, po czym spojrzał na jej piersi. Chciał ją pocałować, ale Vic to nie wystarczyło. Pragnęła przywrzeć do niego całym ciałem, pochłonać go. Chciała go całego.

Czuła, jak jego dłonie przesuwają się po jej plecach, jak krew tętni w żyłach. Ich usta wciąż szukały. Emocje wirowały jak diabelski młyn i wybuchały w jej głowie niczym fajerwerki. Ból, kiedy wreszcie przebił się do jej świadomości, całkowicie ją zaskoczył. Gwałtownie odsunęła się, łapiąc oddech i chwytając za bok, gdzie przed chwilą zabłąkała się ręka Lawsona.

- O Boże! - Cofnął dłoń, jakby poraził go prąd. - Przepraszam - wykrztusił - po prostu... zapomniałem. Jak się czujesz? Tak mi przykro.

- W porządku - wyszeptała, zamykając oczy z bólu, który pozbawił ją tchu.

Lawson poczuł się, jakby ktoś wylał mu na głowę przysłowiowy kubeł zimnej wody. Co on sobie wyobrażał? Victoria jest poważnie potłuczona, a on rzucił się na nią jak nastolatek.

Ból powoli ustępował. Vic ostrożnie przytuliła głowę Lawsona do swojego zdrowego boku.

- Już w porządku, Lawson. - Gładziła go po włosach. - Trochę nas poniosło...

- Przepraszam - wyszeptał.

W migocącym świetle telewizora zobaczył na jej skórze jaskrawy krwiak i zrobiło mu się niedobrze. To szaleństwo. Było tyle powodów, dla których nie powinni tego robić, nie tylko jej obrażenia. Powinien się nią opiekować, a nie wykorzystywać.

Wciągnął przez głowę koszulę i podał Victorii bluzkę. Potrząsnęła głową.

- Lawson, nie.

Chyba jej tak nie zostawi? Spragnionej dotyku, jego pocałunków, kochania.

- Proszę, Victorio, włóż bluzkę. Nie utrudniaj.

Zakładając ją, czuła napływające do oczu łzy, ale nie pozwoliła im wypłynąć.

- To nie powinno się zdarzyć - dodał Lawson.

Nie chciała go dłużej słuchać. Nie pozwoli znowu traktować się jak dziecko, teraz, kiedy po raz pierwszy dotknął jej i spojrzał na nią jak na kobietę.

- Masz zupełną rację - odparła z goryczą.

A potem opuściła pokój, dotarła do sypialni, zamknęła drzwi i przekręciła klucz w zamku.

L R R

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Gdy Vic zgłosiła się na swój pierwszy dyżur po incydencie w jaskini, minęło pięć dni. Wydarzenia z nocy po wypadku przewijały się w jej głowie tysiące razy i nie wiedziała, czy będzie mogła spojrzeć Lawsonowi w oczy.

Podczas jej nieobecności w pracy dzwonił kilkanaście razy, ale nie odbierała jego telefonów. W końcu jednak będzie musiała stawić mu czoło.

Wchodząc do stacji na nocny dyżur, zobaczyła Lawsona rozmawiającego z Carlem, jednym z ratowników z dziennej zmiany. Carl zauważył ją pierwszy.

- A oto i ona. Nasza bohaterka! - zawołał.

Uśmiechnął się i podał jej egzemplarz lokalnej gazety „Brindabella Gazette”. Na pierwszej stronie widniał wielki tytuł: „Miejscowa ratowniczką medyczna ratuje ulubienca rodziny przed utonięciem w zalanej jaskini”. Pod spodem było zdjęcie Vic z Annie, Pete'em i obandażowaną Bellą.

Vic, unikając spojrzenia Lawsona, odwzajemniła uśmiech Carla, a potem wzruszyła ramionami.

Carl szturchnął Lawsona.

- Lepiej uważaj, żeby woda sodowa nie uderzyła jej do głowy.

- O tak, będę ją miał na oku - odparował Lawson złowieszczym tonem.

- No to ja już spadam - powiedział Carl i zsalutował im, odchodząc.

Zostali sami. Spojrzenie Lawsona błąkało się po twarzy Vic. Po raz setny powtórzył sobie, że tak strasznie wszystko schrzaśnił. Doskonale wiedział, że ich relacje nieodwołalnie się zmieniły. I nie było już powrotu.

- Próbowałem się do ciebie dodzwonić.

Vic spojrzała na swoje buty.

- Wiem.

- Musimy porozmawiać.

Przytaknęła, patrząc uważnie w jego szare oczy. Nie miała najmniejszej ochoty na tę rozmowę, ale przyznawała mu rację. Muszą razem pracować i powinni oczyścić atmosferę.

- W porządku, rozmawiajmy.

Lawson już otworzył usta, kiedy odezwały się oba pagery. Przeklął pod nosem, wyciągnął swój zza paska i przeczytał na wyświetlaczu: „Trudności w oddychaniu. Czterolatek. Podejrzenie podgłośniowego zapalenia krtani”.

Vic potwierdziła odczyt. W czasie zmiany pór roku infekcje dróg oddechowych u dzieci dominowały w ich zgłoszeniach, szczególnie nocą.

- Chodźmy. Kiedy dziecko ma trudności z oddychaniem, rodzice panikują. Nie możemy zwlekać.

W ciągu trzydziestu sekund znaleźli się w karetce. Kogut na dachu migotał, syrena wyła, ale w środku było cicho. Vic milczała, co w jej przypadku było niezwykle.

- Victorio...

Odwróciła ku niemu twarz i potrząsnęła głową.

- Nie teraz, Lawson. Mamy dwie minuty. Potem.

Ostatnią rzeczą, jakiej chciała, była trwająca całą noc rozmowa przerywana wyjazdami do wezwań. A ona chciała o wszystkim porozmawiać na spokojnie.

- W porządku. Ale nie myśl, że możesz to odkładać przez całą noc - ostrzegł.

Najeżyła się. Lawson mówi jak ojciec zwracający się do nadąsanej nastolatki. Czy jeszcze mu nie udowodniła, że jest dorosła? Że jest kobietą?

- No cóż, to chyba zależy od pagera, prawda?

Dwie minuty później, gdy parkowali przed właściwym domem, słyszeli dochodzący z niego płacz dziecka, przerywany atakami charakterystycznego kaszlu. Wymizowany mężczyzna, który przedstawił się jako Warren, poprowadził ich wzdłuż długiego korytarza.

- Nasz synek obudził się z okropnym kaszlem - oznajmił. - Nie czuł się dobrze przez ostatnie dwa dni, miał katar i trochę kasłał, ale teraz jest znacznie gorzej.

W salonie młoda kobieta z dzieckiem w ramionach odwróciła ku nim zapłakaną twarz.

- Proszę, pospieszcie się. On nie może oddychać.

Vic rzuciła szybkie spojrzenie Lawsonowi. Mały chłopczyk kaszlał i płakał. Na nieszczęście krzyki przyczyniały się do podrażnienia jego dróg oddechowych i sprawia-

ły, że matka szalała, co z kolei jeszcze bardziej rozstrajało dziecko. To było błędne koło. Vic podeszła do zdenerwowanych rodziców.

- Cześć, jestem Vic - oznajmiła. - A jak nazywa się nasz mały pacjent?

Położyła rękę na plecach dziecka i delikatnie je pogłaskała.

- Jayden - odparła łkająca matka.

- Cześć, Jayden - powiedziała łagodnie Vic, wciąż głaskając chłopca. - Jayden ma się całkiem nieźle - zapewniła. - Myślę, że ma niewielkie zapalenie krtani, ale nie wygląda to na nic groźnego. Jest przytomny i zaróżowiony.

- Naprawdę?

- Tak - potwierdziła Vic. - Jak ma pani na imię?

- Cindy.

- W porządku, Cindy. Teraz powinniśmy spróbować uspokoić Jaydena. Im głośniej krzyczy, tym bardziej podrażnia drogi oddechowe. Czy mogę go wziąć na ręce?

Ramiona Cindy zacisnęły się wokół syna.

- Nie wiem. - Pociągnęła nosem. - Zwykle nie boi się obcych, ale kiedy jest chory...

- Spróbujemy. Proszę mi go podać. Wtedy będziemy mogli z Lawsonem go zbadać.

Vic wyciągnęła ręce i przejęła dziecko z ramion matki. Jayden nie przestawał płakać.

Lawson wyjął z walizki sprzęt, obserwując zabiegi Victorii. Teraz ona pełniła funkcję ratownika i robiła to znakomicie. Naprawdę umiała postępować z dziećmi.

Jaka szkoda, że przysięgała nie mieć własnych. Rozumiał ją, niemniej uważał, że rezygnując z rodzicielstwa, pozbawi się jednych z najpiękniejszych życiowych doznań. Matilda wniosła w jego świat niewypowiedzianą radość i wiedział, że dzięki niej stał się lepszym człowiekiem.

Victoria kołysała malca w ramionach, próbując odwrócić jego uwagę i zajrzeć mu do gardła. Jego płacz nieco osłabł. Kiwnęła na Lawsona, który przybliżył się z pulsoksymetrem i stetoskopem. Stanął za plecami chłopczyka i próbował ukradkiem założyć aparat na jego palec u nogi. Stopka malucha natychmiast się poruszyła, ale w końcu udało się to zrobić.

Victoria zmieniła pozycję, tak aby Lawson mógł osłuchać dziecko. Z zamkniętymi oczami wsłuchiwał się w szmery z dróg oddechowych. Na szczęście nie stwierdził zmian odsłuchowych w płucach.

Gdy otworzył oczy, ujrzał skierowany na siebie wzrok Victorii. Trzymała brodę tuż nad główką dziecka, którego cienkie włoski muskały jej twarz. Przypomniało mu to czas, gdy Vic trzymała w ten sposób maleńką Matildę, nucąc jej coś cichutko.

Ich spojrzenia spotkały się i nagle w jego głowie pojawiła się niespodziewana myśl. Jak wyglądałoby jej dziecko? Ich dziecko? Czy miałyby jej kasztanowe włosy i oliwkową cerę? Czy byłoby podobne do Matildy, czy do bliźniaków?

- Jak płuca? - wyrwała go z zamyślenia.

- Czyste - odpowiedział z ulgą.

Ich uwagę przykuło brzęczenie pulsoksymetru. Vic odwróciła wzrok.

- Natlenienie krwi dziewięćdziesiąt dwa procent - odczytała.

Nic niepokojącego, ale też nie całkiem dobrze. Jayden wyraźnie się uspokoił.

- Oddycha już znacznie lepiej. Dziękuję. - Cindy uśmiechnęła się do Vic. - Okropnie się martwiłam. Miał taki świszczący oddech.

Vic skinęła głową.

- Co powiesz na to, żebyśmy usiedli sobie w fotelu, a mama da ci lekarstwo? - zwróciła się do malca.

Lawson obserwował, jak Jayden przywarł do Victorii, a potem usiadł na jej kolanach, miętosząc rączkami jej kombinezon i przy okazji odsłaniając nieco biustu. Lawson przyklęknął przy nich, starając się nie zaglądać w dekolt Vic. Czy nie dość, że spędził ostatnie pięć dni, zwalczając podniecenie na myśl o niej? Że w snach przywoływał pamięć jej ust, jej zapach, smak jej skóry? Teraz ma przed sobą małego pacjenta z podrażnionymi drogami oddechowymi i na nim musi się skoncentrować. Nie na Victorii i jej dekolcie.

Uśmiechnął się do Jaydena i delikatnie uniósł koszulkę, sprawdzając napięcie mięśni w czasie oddychania. Nie zauważył cofnięcia się przestrzeni międzyżebrowych ani odciągnięcia mostka.

Odwrócił się do Warrena i Cindy.

- Myślę, że na wszelki wypadek powinniśmy zabrać Jyadena do szpitala na obserwację. Wciąż ma trudność w oddychaniu. W drodze do szpitala podam mu lek w aerozolu, który powinien zmniejszyć opuchnięcie dróg oddechowych i zlikwidować ten świst, który słyszymy.

Jako ratownik uprawniony do intensywnej terapii mógł podać adrenalinę, która działała miejscowo na podrażnione tkanki krtani i dróg oddechowych i zmniejszała obrzęk.

Cindy kurczowo uścisnęła dłoń męża.

- Sądziłam, że już mu lepiej.

Lawson usłyszał w jej głosie powrót paniki i uspokajająco pokiwał głową.

- Teraz, kiedy się uspokoił, ma się lepiej, ale w drogach oddechowych wciąż jest stan zapalny. Czuję się pewniej, gdyby obejrzał go lekarz. Może potrzebować jakiegoś steroidu, a można go podać tylko pod kontrolą lekarza.

Warren uścisnął dłoń żony.

- Będzie dobrze, kochanie. Lepiej dmuchać na zimne.

Oczy Cindy napełniły się łzami.

- Czy mogę z nim pojechać?

- Oczywiście - zapewniła Vic młodą matkę.

Pięć minut później Vic zapaliła silnik karetki. Cindy z Jaydenem siedziała z tyłu z Lawsonem, który przyłożył maskę do buzi małego pacjenta.

Vic słyszała protesty chłopca i cichy szept Lawsons, który próbował odwrócić jego uwagę i utrzymać maskę na ustach malca. Vic zmieniła ustawienie lusterka, tak żeby mogła ich obserwować.

Lawson, który przez większość czasu był zamknięty w sobie, gdy tylko chciał, potrafił się otworzyć. Zauważyła to w jego kontaktach z Matildą, i teraz z Jaydenem. Z nią bywał taki bardzo rzadko, a znała go od zawsze. Uśmiechał się do chłopca, próbując go zabawić.

Uśmiechnięty Lawson stanowił wspaniały widok. Jego rysy całkowicie się zmieniły. Głębokie bruzdy traciły ostre kontury, napięcie zniknęło, w spojrzeniu szarych oczu

zamiast zwykłej czujności pojawiały się ujmujące ciepło i łagodność. Wyglądał na zrelaksowanego. I był bardzo seksowny.

Napotkał w lusterku jej spojrzenie. Uśmiech, jaki miał dla małego pacjenta, zamarł na jego ustach, a w spojrzeniu pojawiła się czujność. Vic odwróciła wzrok i skoncentrowała się na drodze. To, że Lawson za wszelką cenę starał się ukryć przed nią swoje prawdziwe ja, raniło ją jeszcze bardziej niż odrzucenie.

Lawson także spojrział w bok. Przez kilka minut, gdy zajmował się Jaydenem, udało mu się zapomnieć o braku rozwagi, jakiego się dopuścił, ale teraz wszystko wróciło. Wróciło wspomnienie namiętnych ust Victorii, ochryplego z pożądania głosu, piersi drażniących jego skórę. Jak mogą razem pracować, skoro on, patrząc na nią, myśli tylko o jej doskonałym ciele?

Na miłość boską, jest profesjonalistą. Ona także. I zasługuje na to, by ją tak traktował, a nie jak jakiś obiekt pożądania. Do niedawna najpierw myślał o niej jak o ratowniku, a potem dopiero o kobiecie. I tak powinno być. Ale wiedział, że to już przeszłość. Już zawsze będzie widział w niej przede wszystkim kobietę.

Wrócili do stacji dobrze po północy. Drgawki u gorączkującego dziecka, przedawkowanie środków nasennych i podejrzenie zawału wymagały przetransportowania wszystkich trzech pacjentów do szpitala na lądzie.

Lawson zrobił Vic kawę i z impetem postawił przed nią kubek w pokoju śniadaniowym. Przysunął krzesło i usiadł naprzeciwko.

- Zanim skończę dyżur, poproszę o przydział innego partnera.

Vic ze zdumienia rozlała kawę.

- Co?

Spodziewała się wszystkiego, tylko nie tego.

- Myślę, że dobrze mnie usłyszałaś.

- Ale... dlaczego? - wychrypiała.

Pomijając ich relacje osobiste, nie chciała pracować z nikim innym.

Lawson spojrział na nią ze zniecierpliwieniem.

- Myślę, że to dosyć oczywiste.

- A ja myślę, że to przesada, Lawson.

- Victorio, prawie się ze sobą przespaliśmy.

Vic poczuła, jak krew uderza jej do głowy.

- Prawie...

Lawson odsunął krzesło i wstał.

- Czy uważasz, że to, jak daleko się posunęliśmy, ma znaczenie?

No cóż, widać nie dla niego. Ale z pewnością dla niej miało. Zostawił ją w stanie takiego podniecenia, że od tamtej pory przez cały czas była rozdygotana. Jej ciało tęskniło za nim tak bardzo, że nawet teraz, gdy był taki daleki i nieprzystępny, pragnęła go dotknąć.

Wzięła głęboki oddech.

- Myślę, że ma, jeśli mówimy o zniszczeniu dobrze dobranego i osiagającego sukcesy zespołu, szczególnie biorąc pod uwagę fakt, że zostało nam tylko sześćdziesiąt pięć dni, zanim i tak się rozstaniemy.

- Może teraz jest doskonała okazja. Po twoim wyjeździe i tak dostałbym nowego partnera. To tylko nieco przyspieszy sprawy. Da mi czas na przystosowanie się do zmiany.

- A co, do diabła, ja mam robić, gdy ty będziesz się przystosowywał? Dla mnie to bez sensu, żeby zaczynać pracę z kimś nowym. Dobrze o tym wiesz.

Lawson westchnął.

- Tak, masz rację. Ale to, co stało się między nami, wszystko zmienia. To nie było właściwe. Nie powinienem do tego dopuścić. To był błąd.

Te słowa zabolaly ją tak bardzo, że na chwilę znieruchomiała, zaciskając palce na kubku. W tej właśnie chwili zdała sobie sprawę, o co tu naprawdę chodzi. Lawson Dunlop nie popełnia błędów - od czasu, kiedy w wieku szesnastu lat błąd omal go nie zabił. Ona ma teraz być jedynie bolesnym przypomnieniem ich braku rozwagi. Ich błędu. Dzień po dniu.

- Wiesz co? Jesteśmy dorośli. A dorośli muszą żyć z błędami, jakie popełnili.

Lawson odwrócił się od niej i podszedł do okna.

- Nie rozumiesz.

Vic patrzyła na jego szerokie plecy. Na tle okna jego sylwetka wyglądała tak samotnie. Nim się zorientowała, już była na nogach i zmierzała w jego stronę.

Podeszła do Lawsona, zaciskając palce na kubku. Popatrzyła na widok za oknem, upiła łyk kawy i powiedziała:

- Więc mi to wytłumacz.

- Czy wiesz, o czym myślałem podczas każdego dzisiejszego wyjazdu? - Zebrał się na odwagę, by jej to wyznać. - Myślałem o twoim pocałunku, twoim zapachu, o tym, jak doskonale są twoje piersi, jak zmienia ci się głos, gdy jesteś podniecona, i jak bardzo chciałbym nie być taki święty, ale po prostu położyć cię na kanapie i się z tobą kochać.

Vic poczuła, jak fala gorąca ogarnia jej ciało. Lawson odwrócił się do niej i chwycił ją za ramiona.

- Nawet teraz chciałbym przycisnąć cię do ściany i całować tak mocno, aż zacznieś prosić o litość.

Z trudem łapiąc oddech, puścił ją i odwrócił się ponownie w stronę okna, krzyżując ręce na piersi.

- Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby w pracy myśleć o takich rzeczach, Victorio. Pomijając naszą wieloletnią znajomość, to jest po prostu niewłaściwe. Powinienem koncentrować się na tym, co robię, a nie na tym, jak wyglądasz bez kombinezonu.

Wiedziała, że Lawson ma rację. Ale jak wyzwolić się z tej cudownej, obezwładniającej fali pożądania? Jego szorstki głos był tak uwodzicielski.

Z trudem wróciła do rzeczywistości.

- Jak zamierzasz wytłumaczyć to mojemu ojcu? - zapytała.

Lawson westchnął. Victoria dotknęła najtrudniejszego problemu. Bob Dunleavy, jego dawny partner, nauczyciel i bliski przyjaciel, nie da się zwieść głupimi wymówkami.

- Czy zamierzasz mu powiedzieć, że się całowaliśmy? Na jego kanapie?

Nie, tego jeszcze nie przemyślał. Nie wiedział, jak powiedzieć przyjacielowi, że zadawał się z jego córką. Nie mógł stracić jego szacunku.

- On nie zechce nas rozdzielić, dobrze o tym wiesz. Nie sądzę, żeby się na to zgodził, szczególnie teraz, gdy wyjeżdżam. Chyba że jesteś gotów powiedzieć mu prawdę.

Lawson kiwnął głową.

- Więc mu powiem.

Skrzywiła się, nie wierząc własnym uszom.

- Żartujesz sobie? On dostanie apopleksji! - wychrypiała. - Ciśnienie skoczy mu tak, że dostanie zawału.

Mimo że Bob nie był najzdrowszym z ludzi, Lawson uważał, że Victoria nieco przesadziła.

- Nie zamierzam go okłamywać, Victorio.

- Ale ja nie chcę, żeby mój ojciec wiedział o moich osobistych sprawach.

- Kiedy przekroczyliśmy granice, to stały się też jego sprawami.

Vic przez chwilę patrzyła przez okno z poczuciem bezsilności. Nie mogła uwierzyć, że jeszcze pięć dni temu jej życie było takie poukładane. Na krótką chwilę otworzył się przed nią olśniewający świat, ale drzwi zatrzasnęły jej się przed nosem i nic już nie było takie samo. Musi odzyskać kontrolę.

Wyprostowała się i stanęła przed Lawsonem.

- Nie chcę przez ostatnie dwa miesiące pracować z nowym partnerem. Zawrzyjmy pakt. - Wyciągnęła ku niemu rękę. - Udawajmy, że nic się nie wydarzyło. Wróćmy do tego, jak było przedtem. Bądźmy wyłącznie partnerami w pracy.

Lawson zerknął na jej wyciągniętą rękę i pokręcił głową. Pamięć tego, co zdarzyło się tamtej nocy, będzie wracała do niego do końca życia.

- A jednak coś się wydarzyło. Nasze relacje nieodwracalnie się zmieniły. Nie możemy wrócić do dawnego układu. To, co zdarzyło się tamtej nocy... tylko o tym będziemy w stanie myśleć, będąc w pracy.

Vic nie cofała ręki.

- Mów za siebie - powiedziała spokojnie. - Ja jestem profesjonalistką wyszkoloną przez ciebie, też profesjonalistę. W pracy skrywam wiele rzeczy. Mój niesmak do mężczyzn, którzy atakują kobiety. Irytację ludźmi, którzy wzywają karetkę, kiedy naprawdę potrzebują tylko plastra. Moje obrzydzenie do pijaków w sobotnią noc. I tak dalej. Możemy to zrobić, Lawson. Wiem, że ja mogę.

- Victorio!

W jego głosie słycać było rozdrażnienie.

- Proszę, Lawson. - Spojrzała mu błagalnie w oczy. - Nie chcę spędzać ostatnich dwóch miesięcy z kimś, kogo nie szanuję tak jak ciebie. Nie chcę wyjaśniać wszystkim, dlaczego już razem nie pracujemy. A najmniej ojcu.

Zauważyła, że Lawson zaczyna się wahać.

- Musimy tylko dokonać wspólnego wysiłku - przekonywała go. - Zapewne na początku będzie nieco niezręcznie, ale damy sobie radę. Proszę, wytrzymaj ze mną jeszcze te dwa miesiące. Włóż to, co się stało, do szuflady i zamknij ją na klucz. Ja tak właśnie zrobię. Jesteś silny, Lawson. Jeśli ktokolwiek może to zrobić, to właśnie ty.

Wiedział, że jest silny i zgadzał się z Victorią, że pewnie mógłby to zrobić. Ale może nie chciał? Z nowym partnerem nie musiałby zamykać żadnych szuflad, a za dwa miesiące, gdy Vic wyjedzie, nie będzie to już miało znaczenia.

- Nigdy nie prosiłam cię o żadne szczególne względy ani specjalne traktowanie. Nigdy. Ale teraz proszę. - Nie dawała za wygraną.

- Dobrze. - Poruszył ramieniem, a jej ręka opadła.

Uśmiechnęła się do niego z ulgą.

- Dziękuję. Bardzo ci dziękuję.

- Ale jeśli to nie zadziała, zmienię zdanie.

Vic żywo przytaknęła.

- Zadziała. Obiecuję.

Lawson nie był tego taki pewien. Kiedy Vic skoczyła, by zrobić im kolejną kawę, jego wzrok natychmiast powędrował za jej biodrami.

Minęło zaledwie kilka sekund, a on już musiał z trzaskiem zamykać szufladę.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Cześć, Vic. Ile dni ci zostało?

Vic uśmiechnęła się do Carla. Przyszła właśnie z Lawsonem na lunch do stołówki, gdzie siedział drugi zespół pracujący na tym samym dyżurze.

- Trzydzieści - odparła z uśmiechem, choć całe podekscytowanie wyjazdem dawno już z niej uleciało. Teraz czuła już raczej ulgę.

Jeszcze tylko trzydzieści dni musi znosić tę chłodną uprzejmość, jaką darzył ją Lawson od czasu ich rozmowy.

- Dokąd jedziecie? - zapytała niezadowolona, że zostanie z Lawsonem sama.

Miała nadzieję, że obecność kolegów złagodzi panujące ostatnio między nimi napięcie.

- Do Domu Opieki. Dziewięćdziesięcioletnia kobieta z podejrzeniem złamania szyjki kości udowej.

- Będziecie dziś wieczorem w pubie? - spytała z nadzieją w głosie.

To był ich cotygodniowy rytuał, do którego Vic szybko się przyłączyła. Będąc jedyną kobietą w zespole, odczuwała potrzebę integrowania się z kolegami.

- Jasne. - Carl skinął głową. - Przecież dziś sobota. Chcesz się przyłączyć?

Ukradkiem zerknęła na Lawsona. Jadł kanapkę, czytając jednocześnie gazetę.

- Czemu nie?

- A ty, Lawson? - zapytał Carl.

- Nie, dzięki.

Lawson nie miał czasu na życie towarzyskie. Córka zawsze była dla niego priorytetem i nie uważał, żeby było to z jego strony jakieś specjalne poświęcenie.

Vic zacisnęła ze złością usta. Odmowa Lawsona wcale jej nie zaskoczyła, bo rzadko się przyłączał do kolegów w pubie, ale mógłby przynajmniej podnieść wzrok znad gazety.

Ostatni miesiąc był naprawdę trudny. Vic miała pięć lat praktyki w ukrywaniu swojego zauroczenia Lawsonem i rozdzielenie życia zawodowego od prywatnego nie

było dla niej trudne. Pod tym względem Lawson się od niej różnił. Traktował ją z wyraźną rezerwą, ograniczając ich kontakty do spraw czysto zawodowych.

W czasie przerw nie wychodzili jak kiedyś na świeże powietrze, by podziwiać widoki. Posiłki w pokoju śniadaniowym zazwyczaj gwarantowały obecność któregoś z kolegów. Popołudniami nie bawili się w wolnych chwilach z Matildą, jak to mieli w zwyczaju wcześniej. Lawson nie prosił też Vic o opiekę nad córką. W istocie unikał wszystkiego, co mogłoby ich zbliżyć.

- Wychodzisz z Carlem? - spytał zza gazety.

Vic przerwała jedzenie. Tak rzadko się ostatnio do niej zwracał, że niemal otworzyła usta.

- A dlaczego nie?

Aż go korciło, żeby jakoś zareagować. To, z kim umawiała się Victoria, nie jest jego sprawą. Ale żeby umawiała się z Carlem?

- Wiesz, że Carl jest niepoprawnym podrywaczem - odparł. - Lubi skakać z kwiatka na kwiatek.

Vic patrzyła na niego z niedowierzaniem. Co go to, do cholery, obchodzi?

- I co z tego?

Te słowa go rozdrażniły. Czy tego właśnie chciała? Zrobić z siebie idiotkę, prowadząc się z tym casanową w ostatnich tygodniach pobytu na wyspie? Na myśl o tym, że Victorię może dotykać inny mężczyzna, miał ochotę rzucić talerzem. W Londynie będzie mogła robić, co będzie chciała. Nie musi tego widzieć ani o tym słyszeć. Ale czy musi to znosić tutaj?

- Nic, ale nie sądziłem, że jesteś tego rodzaju dziewczyną.

Vic poczuła, jak wybuchają w niej tłumione od miesiąca emocje. Zmrużyła z wściekłości oczy i wyrwała mu gazetę z rąk.

- Jakiego rodzaju dziewczyną?

Lawson z zaskoczeniem dostrzegł w jej oczach prawdziwą furję.

- Czyżby ta odrobina flirtu uderzyła ci do głowy?

- Jestem młoda i jestem singielką, Lawson. To powinno uderzać mi do głowy.

- Tak, ale Carl może ci oferować tylko szybki numer.

- No cóż, może właśnie tego potrzebuję. Myślę nawet, że jestem na niego gotowa.

Była tak sfrustrowana, że miała ochotę krzyczeć. Lawson odczuł jej ripostę jak smgnięcie biczem.

Jeśli Victoria jest gotowa na coś takiego, to dlatego, że wtedy ją powstrzymał. A teraz skorzysta z tego Carl.

- Myślę, że nie jest to dobry pomysł wiązać się z kolegą z pracy.

Vic poczuła irracjonalną chęć, by się na niego rzucić. Ale nie była pewna, czy okładałaby go pięściami, czy obsypała pocałunkami.

- Wyjašnjmy coś sobie - powiedziała, oddychając głęboko, by zapanować nad emocjami. - Nie chcesz mnie, ale nie chcesz także, żeby miał mnie Carl. Tak?

Boże! Jakie to wszystko jest cholernie pokręcone, pomyślał Lawson. Ale Vic ma rację. Nie chce, żeby miał ją Carl. Ani ktokolwiek inny. A poza tym w ogóle nie powinien się odzywać.

- Myślę, że ta rozmowa jest całkowicie nieodpowiednia w miejscu pracy.

Vic skoczyła na równe nogi. Jej krzesło przewróciło się z hałasem.

- Do diabła, Lawson, nie rób tego! Odpowiedz na moje pytanie.

Jej wybuch go zaskoczył. W ciągu ostatniego miesiąca wydawała się taka spokojna. Zdecydowanie lepiej od niego dawała sobie radę z wymazaniem z pamięci tego, co między nimi zaszło. Wiedział, że jego wymuszona rezerwa ją rani, ale tylko w ten sposób był w stanie kontynuować ich współpracę.

Odezwały się pagery. Chyba nigdy w życiu nie był bardziej wdzięczny za ten dźwięk.

- Cholera! - zaklęła Vic, wyciągając zza paska swój aparat.

Przez chwilę miała ochotę rzucić nim o ścianę.

- Pięćdziesięciosześcioletni mężczyzna. Ból klatki piersiowej, poty, niewydolność oddechowa, podejrzenie zawału serca.

Kiedy Lawson czytał wiadomość, Vic z niedowierzaniem wpatrywała się w swój pager. Potem spojrzała zszokowana na Lawsona.

- To mój adres!

Lawson zmarszczył brwi i przewinął tekst niżej. Faktycznie. Spojrzał na Vic.

- Jedziemy.

Nie mogła się poruszyć i jak zahipnotyzowana wpatrywała się w wiadomość. Ojciec? Czy to możliwe, żeby jej ojciec miał zawał serca?

- Victoria!

Okrzyk Lawsona wyrwał ją z odrętwienia. Pobiegła za nim z głową pełną najgorszych scenariuszy. Wsiadła do samochodu, zapięła pasy, a Lawson z piskiem opon opuścił garaż. Wyjęła komórkę i drżącymi palcami wybrała domowy numer. Czekając na połączenie, nerwowo przygryzała wargi.

- Nikt nie odbiera.

- Kto jest teraz w domu?

- Tylko Josh. Ryan wyszedł z kolegami.

Lawson jęknął. Ryan potrafił działać bardziej racjonalnie niż wrażliwy Josh.

- Chyba nie chce oddalić się od ojca, żeby odebrać telefon - zasugerował.

- Tak przypuszczam.

Wyłączyła komórkę. Emocje rozsadzały jej klatkę piersiową. Czy to możliwe, że ojciec ma zawał? W jej głowie zaczęły pojawiać się obrazy pacjentów z zawałem, których nie udało im się uratować.

Odwróciła się do Lawsona.

- O Boże! A jeśli... - zaczęła łamiącym się głosem.

- Victoria, nie! - Spojrzał na nią groźnie. - Nawet o tym nie myśl. Jeśli rzeczywiście Bob ma zawał, to będziesz mi potrzebna. Zadzwońię po wsparcie, ale zanim je dostaniemy, będziemy sami. Przykro mi, ale nie możesz być teraz córką. Musisz być silna i pomóc mi ocalić życie ojca.

Zbladła przerażona. Nie mogła zrobić tego, o co ją prosił, po prostu nie mogła. Na samą myśl o tym, co mogli zastać w domu, serce podchodziło jej do gardła. Nie chciała widzieć ojca poszarzałego z bólu.

- Ale...

Lawson potrząsnął głową.

- Żadnych ale. - Ścisnął ją za rękę. - Dasz radę. Robiłaś to już setki razy. Potrzebuję cię. Ojciec cię potrzebuje.

Wciągnęła powietrze i kiwnęła głową.

- Dobrze.

Widząc, że Victoria już się wzięła w garść, Lawson uruchomił radiotelefon.

- Centrala? Tu dziewięć sześć zero. Pacjent, do którego zostaliśmy wysłani, to Bob Dunleavy. Szef zespołu Brindabella. Przyjąłem zgłoszenie z Victorią Dunleavy. Proszę o wsparcie. Jak najszybciej.

Lawson wiedział, że dyspozytor umie czytać między wierszami. Członek zespołu potrzebuje pomocy, a wezwanie przyjęła jego córka. Na pewno zrobią, co się da.

Josh, który usłyszał z daleka syrenę, czekał przy drzwiach. Victoria ruszyła w stronę brata. Jego twarz była ściągnięta przerażeniem.

- Vic, z tatą jest niedobrze.

Uścisnęła go mocno, próbując pocieszyć, jak wtedy, gdy był małym chłopcem.

- Już dobrze, Josh. Już jesteśmy.

Złapała go za rękę i pociągnęła w głąb domu.

- Tato?

Podbiegła do leżącego na kanapie ojca, chwytając go za rękę. Ręka była chłodna i wilgotna, co pogłębiło jej obawy. Ojciec wyglądał tak jak każdy pacjent z zawałem: był szary, miał spoconą twarz, i trzymał się za serce.

- Lawson! - zawołała, próbując ukryć w głosie panikę i uśmiechając się do ojca.

- Nic mu nie będzie, prawda Vic? - spytał Josh z nadzieją w głosie.

- Oczywiście. Wszystko będzie w porządku. - Bob głośno wypuścił powietrze i uśmiechnął się do syna.

- Nic nie mów, tato - wyszeptała.

Do pokoju wszedł obładowany sprzętem Lawson.

- No, stary - zwrócił się do chorego - jak zawsze chcesz być w centrum uwagi.

W odpowiedzi Bob uśmiechnął się półgębkiem.

- Masz nitroglicerynę?

- Oczywiście.

Podawanie leku rozszerzającego arterie było pod ścisłą kontrolą, ale Lawson nie zamierzał kwestionować decyzji starszego kolegi. Jeśli ktoś wie, jak wygląda zawał, to na pewno tym kimś jest Bob.

- Podłącz go - rzekł Lawson do Victorii.

Zwykle automatycznie wykonywała wszystkie czynności, znała je na pamięć. Ale dziś było to znacznie trudniejsze. Umieściła elektrody na ciele ojca i oboje z Lawsonem z niepokojem obserwowali wykres, który wskazywał na niedokrwienie mięśnia sercowego. Stan Boba nie był dobry. Powinni jak najszybciej zawieźć go do szpitala. Potrzebował specjalnego leku, który by rozpuścił skrzep blokujący dopływ krwi do serca, a może nawet zabiegu chirurgicznego. Lawson podał choremu aspirynę.

- Bob, przyprowadzę wózek. Musimy cię zabrać do szpitala.

- Pospiesz się - wysapał Bob, któremu brakowało tchu.

Vic uściśnęła jego rękę.

- W porządku, tato. Nie pozwolimy, żeby coś ci się stało.

Ojciec uśmiechnął się do niej, a potem jęknął.

- Tato! - zawołał Josh, widząc, jak ojciec chwyta się za serce.

Vic spojrzała na wykres EKG, który wskazywał na migotanie komór.

- Zawołaj Lawsona - poleciła bratu. - Natychmiast.

Josh wybiegł z pokoju. Vic instynktownie pchnęła ojca na oparcie kanapy, uderzając mocno pięścią w środek jego klatki piersiowej. Rytm rejestrowany na monitorze pozostał bez zmiany i przez moment poczuła się bezsilna.

- Victoria! Połóżmy go na ziemi! - wołał nadbiegający Lawson.

Chwycili go pod ręce i ułożyli na podłodze.

- Josh, odsuń stół, musimy mieć trochę miejsca. Victoria, rób mu masaż serca, dopóki nie podłączę defibrylatora.

Mechanicznie wykonywała jego polecenia. Ułożyła ręce na klatce piersiowej ojca i zaczęła rytmicznie ją uciskać. Działała jak automat, dopóki nie spojrzała na twarz ojca, nieruchomą i poszarzałą niczym popiół.

- Rusz się, tato - wyszeptła, czując ból w piersiach, jakby sama miała za chwilę dostać zawału. - Rusz się! - powtórzyła głośniej.

- Odsuń się - zażądał Lawson, pochylając się nad Bobem i naklejając elektrody na jego klatkę piersiową. Gdy nacisnął przycisk, chory gwałtownie drgnął, ale wykres na monitorze nie uległ zmianie. - Nie przestawaj, Victorio - rzucił, ładując ponownie baterie.

Zauważył płynące po jej twarzy łzy i słyszał szlochającego Josha, który kompletnie się rozkleił. Chciał przytulić ich oboje i obiecać, że wszystko będzie dobrze. Ale nie wiedział, czy dotrzyma słowa. Nie mógł ulegać teraz emocjom, musiał ratować przyjaciela.

- Do cholery, tato - dyszała Victoria, uciskając jego klatkę piersiową. - Nie rób nam tego. Potrzebujemy cię.

- Odsuń się - polecił Lawson.

Ponownie nacisnął przycisk, modląc się, by tym razem się udało. Usłyszał z oddali sygnał karetki. Tym razem trzysta dzuli pobudziło uszkodzone serce. Bob natychmiast się poruszył.

- Tato! - krzyknęła Vic. - Dzięki Bogu!

Bob, słaby i dezorientowany, uniósł rękę, by poklepać córkę po ramieniu.

- Już w porządku - wyszeptał.

Vic najchętniej wtuliłaby się w jego ramiona i rozplakała, jak wtedy, kiedy była małą dziewczynką.

Teraz jednak ojciec potrzebuje jej wsparcia, więc nie ma prawa się rozklejać.

I wtedy do domu weszła druga załoga ratowników. Będący z nimi Carl posłał jej uspokajający uśmiech. Razem z Lawsonem unieśli chorego ojca i ułożyli na wózku, po czym przetransportowali go do karetki.

- Jadę z tobą - zwróciła się do Lawsona mocującego nosze w karetce.

Komuś innemu by odmówił, ale nie potrafił tego zrobić, patrząc na bladą, strapioną twarz Victorii. Skinął przyzwalająco głową.

Josh wsiadł z przodu z Carlem. Po dwunastu minutach dotarli do szpitala.

Podczas następnych dni panował chaos. Bob został przyjęty na oddział intensywnej terapii, gdzie rozpuszczono skrzeplinę powodującą niedokrwienie mięśnia sercowego, a także wykonano koronografię.

Vic i bliźniacy praktycznie zamieszkali w szpitalu, spędzając noce na fotelach w poczekalni. Lawson towarzyszył im niemal przez cały czas. Zorganizował zastępstwo w pracy dla nich oraz Boba i poprosił Dorothy, aby zaopiekowała się Matildą.

Vic była mu wdzięczna za obecność. Mimo że sama nie była w dobrym stanie, musiała stanowić podporę dla braci i przekonać ojca, że doskonale daje sobie ze wszystkim radę. Bez żenady korzystała z pomocy Lawsona. Po prostu był przy niej, jak zawsze.

Ich osobiste problemy stały się nieistotne. Napięcie znikło i było tak jak dawniej.

Po czterech dniach pobytu na oddziale intensywnej terapii Boba przeniesiono na normalny oddział i Vic wreszcie odetchnęła. Mogła odesłać Lawsona do domu i do córki, a sama, po kilku nocach spędzonych na szpitalnych krzesłach, zasnęła we własnym łóżku.

Po kolejnych dwóch dniach ojciec wyglądał już bardzo dobrze i nawet trochę schudł. Odzyskał werwę i żartował z pielęgniarkami, zdobywając czekoladkami ich przychylność. Ponieważ chciał jak najszybciej wyjść ze szpitala, intensywnie współpracował z fizjoterapeutą i dietetykiem.

Vic jednak nie zależało na tym, by ojciec szybko opuścił szpital. Ojciec palił się, by wracać do pracy, podczas gdy ona miała nadzieję, że przejdzie na emeryturę. Nadciśnienie i nadwaga, owszem, przyczyniły się do zawału, ale stres też odegrał tu dużą rolę. A funkcja szefa stacji ratownictwa medycznego była tak stresująca, jak tylko można sobie wyobrazić.

Zamierzała odłożyć na jakiś czas swój wyjazd. Nie była pewna, jak to wpłynie na jej stosunki z Lawsonem, ale postanowiła o tym nie myśleć. Nie mogła przecież wyjechać, gdy ojciec był na etapie rekonwalescencji. W tym momencie nie było nic ważniejszego niż jego zdrowie. Londyn w ciągu kilku miesięcy nie zniknie.

- Tato, myślę, że musimy porozmawiać - powiedziała w czasie popołudniowej wizyty w szpitalu. - O tym, co będzie dalej.

Bob ucałował córkę w policzek.

- Oczywiście, kochanie.

- Myślę, że powinieneś przejść na emeryturę.

Bob zaśmiał się i uściśnął jej dłoń.

- Och, moja słodka córeczko, kocham cię, ale nie zamierzam iść na emeryturę. Wezmę całe sześć tygodni zwolnienia, będę codziennie spacerował, przejdę na dietę i będę pracował tylko na pół etatu, ale na razie nie mam zamiaru myśleć o emeryturze.

- Tato, a stres? Brak personelu, i tak dalej?

- Na części etatu będę znacznie mniej obciążony.

- No nie wiem...

- Serduszko, zawsze chciałem tylko dwóch rzeczy: być ojcem i ratownikiem. Nie jestem jeszcze gotów zrezygnować z żadnej z nich.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Ojciec najwidoczniej myślał o przyszłości i podjął już decyzję. Nie taką miała nadzieję, ale ucieszyła się, że przynajmniej bierze pod uwagę zmianę stylu życia. Zawsze to jakieś pocieszenie.

- A teraz porozmawiajmy o twojej przyszłości.

- To nie ma znaczenia, tato. Już przebukowałam bilet.

Bob zmarszczył brwi.

- Miałem nadzieję, że tego nie zrobiłaś - powiedział. - Czekalaś na ten wyjazd przez rok. Odwołaj to. - Bob spojrział na zegarek. - Masz dwie godziny do zamknięcia biura podróży.

Vic przecząco pokręciła głową.

- Nie, tato, nie zamierzam wyjeżdżać na drugi koniec świata, kiedy ty dopiero co miałeś zawał.

- Vic, zasługujesz na wyjazd. Tyle już w życiu poświęciłaś dla mnie i dla braci. Teraz chłopcy są już dorośli, i to jest czas dla ciebie. Musisz to zrobić.

- Tato, Londyn nie zniknie z powierzchni ziemi w ciągu dwóch miesięcy.

- Wiesz, o co prosiła mnie twoja mama tuż przed śmiercią? Powiedziała: Pomóż Victorii być tym, kim zechce.

Vic, wzruszona, ujęła rękę ojca.

- I tak będzie, tato. Chcę tylko, żebyś wyzdrowiał.

- Nic mi nie będzie - odparł szorstko.

- Myślę, że chłopcy woleliby, żebym została trochę dłużej.

- Victorio, oni już nie są małymi chłopcami. Muszą przestać liczyć na to, że będziesz im wycierać nosy. Dadzą sobie radę.

- A jeśli ty... - Urwała.

Nie chciała dopuścić myśli, że ojciec mógłby mieć kolejny zawał, ale jego szara twarz wyryła się w jej pamięci.

- Jeśli będę miał kolejny zawał? No cóż, uważam, że to było poważne ostrzeżenie i nie planuję powtórki, ale mogę zachorować w każdej chwili, czy jesteś tu, czy nie. Mogłem mieć zawał w czasie twojego wyjazdu do ciotki w Noosa czy na zjazd ratowników. Zawał mógł mnie dopaść dziesięć lat temu.

Vic zbladła.

- O rany, dzięki, tato. Sama umiem wymyślić dość koszmarnych scenariuszy, nie musisz mi ich podpowiadać.

- Chodzi o to, że w życiu nie ma żadnych gwarancji. Oboje doskonale o tym wiemy. - Uścisnął jej rękę. - Nie możesz tkwić tu „na wszelki wypadek”.

Westchnęła.

- Słuchaj, obiecuję, że zostanę tylko do czasu, kiedy wrócisz do pracy i wszystko się unormuje.

- Nie podoba mi się to.

- Czy myślisz, że będę dobrze się bawić w Londynie, jeśli będę się o ciebie martwić?

Bob musiał uznać ten argument.

- Niezła z nas para, co? - Uśmiechnął się do córki.

- Tato, obiecuję ci, że tam pojadę.

- No myślę. - Przyciągnął ją do siebie i przytulił. - Inaczej będę musiał cię zwolnić z pracy.

Vic tak ułożyła plan zajęć, żeby zawsze ktoś był przy ojcu. Po dwóch tygodniach mogła powiedzieć, że jego rekonwalescencja przebiega bez zarzutu. Wyglądało na to, że zgodnie ze swoim zamiarem będzie mógł niedługo wrócić do pracy.

- Co oglądasz, tato? - zapytała, siadając obok. Bob spojrzał na córkę.

- Dokument o życiu jedwabników.

Z entuzjazmem kiwnęła głową, choć delikatnie mówiąc, nie przepadała za tego typu filmami. Ale ojciec je uwielbiał, a ona chciała spędzać z nim tyle czasu, ile tylko było to możliwe, więc niech będą jedwabniki.

- Brzmi to nieźle.

Bob zmarszczył brwi, chwycił pilota i ściszył telewizor.

- Victorio, na miłość boską, rusz się z domu. To twój wolny dzień, a ty tkwisz tu, jakby cię ktoś przykleił. Jest sobota wieczór, idź z chłopakami do pubu. Albo spotkaj się z przyjaciółką. Ja czuję się dobrze, nic mi nie będzie.

- Tato, już dobrze. Chcę spędzić wieczór z tobą.

Bob zignorował ją i sięgnął do kieszeni po komórkę.

- Jaki jest numer do Brendy?

Vic chwyciła telefon.

- Nie potrzebuję, żebyś się za mnie umawiał.

- Więc idź - powiedział. - Włóż na siebie coś fajnego i zmykaj. Baw się dobrze.

Ryan i Josh są w domu.

Vic wahała się. Minęło sporo czasu, odkąd siedzi w domu, i trochę miała już tego dość. Bob widział, że jej opór słabnie.

- Proszę, kochanie. Nie cierpię patrzeć, jak się tu marnujesz. Martwię się o ciebie.

To była ostania rzecz, jakiej by sobie życzyła. Ojciec ma zdrowieć bezstresowo, a już przełożenie jej wyjazdu powodowało w nim niepokój. Z pewnością nie chciała martwić go jeszcze bardziej.

- Dobrze. Jeśli to dla ciebie takie ważne...

Bob uśmiechnął się i rzekł:

- No i to mi się podoba!

Na wyspie były dwa miejsca, do których można było pójść w sobotni wieczór: klub Beach Hut i Brindabella Pub. Vic wpadała do obu z nich, dziś wybrała ten pierwszy.

Weszła do Beach Hut parę minut po ósmej. Do wyboru były dwa bary: jeden blisko parkietu, w tej chwili okupowany przez kłębiący się tłum, i drugi, w klubowym holu, z którego przez ogromne okna rozciągał się wspaniały widok na plażę po drugiej stronie drogi.

Podeszła do baru w holu i usiadła na stołku. Czekaając na barmana, rozejrzała się dokoła i ze zdziwieniem na drugim końcu lady ujrzała Lawsona.

Ich spojrzenia skrzyżowały się. Zasalutował jej, po czym wziął swoje piwo i ruszył w jej kierunku.

- Co taka miła dziewczyna robi w takim barze? - spytał i usiadł na stołku obok.

Vic uśmiechnęła się. Miło było usłyszeć, jak Lawson żartuje. Choroba ojca usunęła w cień wcześniejsze wydarzenia i przyjemnie było znowu rozmawiać z Lawsonem normalnie. Wprawdzie zauroczenie pozostało, ale Vic nie zamierzała walić głową w mur.

- Ojciec zarządził, że muszę się rozerwać.

- Aha. - Lawson pokiwał głową.

Nadszedł barman, czekając na zamówienie. Vic zastanawiała się przez chwilę.

- Czekoladowe martini.

Lawson zamówił drinka, po czym spytał Victorię:

- Co to jest czekoladowe martini?

- Moje dwie ulubione rzeczy: wódka i czekolada. To jak deser, który można pić przez słomkę.

Lawson uniósł brwi.

- Aha.

- Co tutaj robisz? - zapytała.

- Byłem z chłopakami na piwie, ale już pojechali do baru w Brisbane. Właśnie kończyłem swoje.

- Nie wiedziałam, że chodzisz na te sobotnie spotkania.

Lawson wzruszył ramionami.

- Zazwyczaj nie chodzę, ale Matilda śpi dzisiaj u koleżanki i poczułem trochę wolności.

Vic pokiwała głową. Wiedziała, jak się czuł. Barman postawił przed nią drinka.

- Mmm - zamruczała, pociągając łyk. - Powinieneś tego spróbować. - Podała mu szklanę.

Lawson spojrział na pokrytą szminką słomkę i poczuł podniecenie. Picie tą samą słomką wydawało mu się zbyt intymne, a on nie zamierzał już przekraczać żadnych granic. Szczególnie że w grę wchodzi alkohol.

- Dzięki. Nie skorzystam.

- Bez łaski. Będzie więcej dla mnie.

Siedzieli tak chwilę, sącząc swoje drinki i obserwując przez szybę przetaczające się po plaży fale.

- Spotykasz się z kimś tutaj? - spytał Lawson.

- Chciałam zobaczyć, czy jest ktoś znajomy, może trochę potańczyć. Ale ten zespół nie jest za dobry, co?

Lawson uśmiechnął się.

- Myślałem, że tylko ja odnoszę takie wrażenie.

Vic zaśmiała się.

- Wiesz, na co naprawdę mam ochotę?

Lawson spojrział na nią badawczo.

- Na co?

Głową wskazała okno.

- Na spacer po plaży. Pójdziesz?

Lawson spojrział we wskazanym kierunku i poczuł ukłucie w sercu. Sierp księżyca oblewał plażę srebrzystą poświatą, wywołując w nim napięcie. Przez ostatnie dwa tygodnie usiłował zwalczyć zauroczenie Victorią, a ta sceneria mogłaby zniweczyć jego wysiłki. Nie, spacer po plaży z tą dziewczyną to nie jest dobry pomysł.

- Chyba nie.

Vic była wyraźnie zawiedziona.

- W porządku. Ja chyba jednak pójdę. - Zsunęła się ze stołka, dodając: - Dzięki za drinka.

Lawson odprowadzał ją wzrokiem, obserwując kołyszące się pod czarną sukienką biodra. Kasztanowe włosy luźno spływały jej na ramiona. Victoria wyglądała krucho i bardzo kobieco.

Westchnął. Nie może pozwolić jej samej chodzić po plaży. Wyspa jest dość bezpieczna, a Vic zna tu każdy zakątek, ale napady się zdarzały i nie darowałyby sobie, gdyby coś jej się stało.

- Poczekaj - zawołał, zeskakując ze stołka i kierując się w jej stronę.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ostra bryza owiewała twarz Victorii, zdmuchując do tyłu jej włosy. Zdjęła pantofle i z przyjemnością poczuła pod stopami miękkość piasku. Fale oceanu przetaczały się w kierunku plaży, rytmicznie uderzając o brzeg. Vic całym ciałem odbierała ich wibracje.

Obejrzała się do tyłu, patrząc, jak Lawson zrzuca buty. W świetle księżyca jego ramiona wydawały się szersze, a nogi dłuższe. Miała ochotę dotknąć jego twardych mięśni.

- Ruszaj się, ślamazaro! - zawołała i ruszyła w kierunku fal, pragnąc jak najszybciej zanurzyć stopy w Pacyfiku.

Lawson potrząsnął głową. Zastanawiał się, co tu robi, wystawiając się na pokusy. Zawał serca Boba przyćmił pożądanie, jakie wzbudzała w nim Victoria, ale dziś wieczór widok jej ust rozbudził je na nowo.

Powinien teraz odejść, dopóki potrafił słuchać głosu rozsądku. Ale coś nieokreślonego, jakaś tęsknota w jego sercu kazała mu zostać.

- Chcesz iść w jakimś konkretnym kierunku - zapytał, doganiając Victorię - czy po prostu idziemy przed siebie?

Vic uśmiechnęła się.

- Pomyślałam, że możemy dojść brzegiem do tamtych głazów. - Wskazała kamieniste wzniesienie dwa kilometry dalej.

Przez jakiś czas szli obok siebie w milczeniu, pozwalając, by fale obmywały ich stopy. Vic pragnęła wsunąć rękę w mocną dłoń Lawsons, ale zbyt się bała, że znowu ją odrzuci i z trudem odbudowane relacje rozsypią się jak domek z kart. Zadowolala się więc tylko przypadkowymi muśnięciami jego ramienia.

Czuła między palcami nóg chłodną wodę i skrzypiące ziarna piasku. Głęboko wciągnęła powietrze.

- Będzie mi tego brakowało.

- W Anglii też mają oceany - zażartował po chwili Lawson. - To też jest wyspa.

Vic popchnęła go ramieniem.

- Tak, ale wielki Pacyfik tam nie sięga, prawda?

Lawson zapatrzył się w niebo. Noc była prawie bezchmurna, odbite światło księżyca lśniło na powierzchni wody.

- Rzeczywiście.

Vic potrząsnęła głową.

- Tylko pomyśl. Nigdy nie widziałam innego morza. Mam dwadzieścia sześć lat i znam tylko Pacyfik.

Odwrócił twarz w jej stronę.

- Poczekaj, aż zobaczysz Morze Śródziemne. Jest... niezwykle. Nie wiem, czy są jakieś słowa, żeby je właściwie opisać. Mieni się niesamowitym odcieniem błękitu. Jak nieoszlifowany szafir. A słońce błyszczy na wodzie jak roztopione złoto.

Vic popatrzyła na jego profil. Wysiłek w poszukiwaniu odpowiednich słów dodał jego twarzy wyrazistości. To, co mówił, powinno wzbudzić w niej pragnienie zobaczenia tych cudów. Ale jakoś tego nie odczuwała.

- Niesamowite są Włochy. Musisz tam pojechać. Koniecznie musisz zobaczyć Wenecję. Obiecuj mi, że pojedziesz do Wenecji.

Spojrzała mu w twarz, ale jego oczy były w cieniu i nie mogła z nich nic wyczytać.

- Obiecuję - wyszeptała, choć myśl o samotnej podróży wcale jej nie pociągała.

Lawson kiwnął głową i ruszył do przodu. Jego stopy zapadały się w mokrym piasku.

- Cieszę się, że jednak jedziesz - rzekł po dłuższej chwili.

Jego to naprawdę cieszy!

- Twój ojciec się martwi, że chcesz zostać. Prosił, żebym z tobą o tym porozmawiał.

Vic zatrzymała się.

- Czy on nas dziś umówił?

Lawson zaśmiał się i szedł dalej.

- Jeśli mnie pytasz, czy wiedziałem, że się dzisiaj zjawisz w barze, to odpowiedź brzmi „nie”.

Obejrzał się. Stała z rękoma na biodrach jak nadąsane dziecko.

- A czy twój ojciec wiedział, że będę w barze, to odpowiem, że tak.

Vic potrząsnęła głową.

- Ten stary przebiegły...

Lawson zaśmiał się.

- Nie sędzę, żeby choroba zaatakowała jego mózg.

Odwrócił się i szedł pod wiatr. Dogoniła go.

- Jadę, Lawson. Ale...

- Ale?

- To jest skomplikowane. Nie mogę po prostu wyjechać, kiedy on miał właśnie zawał. A jeśli...?

Lawson chwilę odczekał, zanim się odezwał:

- Jeśli co?

- Jeśli coś się stanie. Jeśli po dwóch miesiącach w środku nocy dostanę telefon, że miał kolejny zawał. Poważniejszy. Taki, z którego...

Szum oceanu nie ustawał, podczas gdy ona mocowała się z wyartykułowaniem tego, o czym nie chciała nawet pomyśleć. Jedna fala. Dwie. Trzy. Zatrzymała się. Jej stopy zapadały się w mokrym piasku. Wzięła głęboki oddech.

- ...nie można go uratować.

Lawson też się zatrzymał, czując jej ból. Bob Dunleavy był dla niego jak ojciec. Ten starszy mężczyzna nauczył go szacunku i ciężkiej pracy. Pokazał mu różnicę między przygodami a realnym życiem. Zmienił go z niebieskiego ptaka w mężczyznę, jakim był dzisiaj.

- Będę na niego uważał, Victorio.

Czuła, jak łzy napływają jej do oczu.

- Ty masz Matildę. Masz inne priorytety.

Chwycił jej dłonie.

- Nawet gdybyśmy musieli się z Matildą do niego wprowadzić, będę się nim opiekował. Tak jak on opiekował się mną, kiedy byłem szczeniakiem. Obiecuję.

Vic czuła wzbierające w niej fale emocji. Tak jak te, które rozbijały się o brzeg. W końcu zablokowały jej gardło i wycisnęły z oczu łzy. Zanim zdążyła się opamiętać, uniosła się na palcach, otoczyła Lawsona ramionami i przywarła wargami do jego ust.

To był pocałunek wdzięczności. Podziękowanie. Czuła opór Lawsona, jego zamknięte usta. Ale potem jak ruch oceanu, jak przyływ i odpływ, jego dłonie powędrowały po jej plecach, przyciągnęły ją mocniej i pocałunek zaczął żyć własnym życiem. Fale huczały wokół nich, a pocałunek był coraz gorętszy.

Wreszcie Lawson oderwał się od niej, ciężko dysząc. Kręciło mu się w głowie. Zaciśnął ręce na jej ramionach.

- Po co to było?

- Bo jestem już zmęczona udawaniem, że mnie nie pociągasz. Że mało brakowało, a kochalibyśmy się na tej nieszczęsnej kanapie.

Palce Lawsona jeszcze bardziej zacisnęły się na jej ramionach. Pragnienie, by przewrócić ją na piasek, walczyło w nim z odpowiedzialnością. Walczyło z poczuciem tego, co właściwe.

- Powinniśmy już wracać.

Vic zaśmiała się. Nie mogła się opanować. Każdy inny facet przewróciłby ją na plecy i posiadł tu, na tym piasku, w jednej chwili. Wyciągnęła rękę i powiedziała:

- Chodź, chcę ci coś pokazać.

Przewyciężyła jego opór i pociągnęła za sobą.

Lawson szedł obok, boleśnie świadomy ocierającego o niego ciała. Ich pocałunek wciąż tkwił w jego pamięci i śpiewał we krwi jak heavy-metalowa gitara. Przyćmiewał świadomość jak alkohol i dawał rozkosz jak czekolada. Uzależniająca słodycz.

Czuł, jak fale uderzają w rytm jego pulsu. Tak jakby dzikość oceanu wyzwoliła jego pierwotne ja, które czaiło się pod powierzchnią skóry i które tak bardzo starał się w sobie zdusić.

Tak więc podążył za nią. Nie rozmawiali. Ich ciała komunikowały się bez słów. Od przypadkowych dotknięć rosła w nich gorączka.

Gdy dotarli do spiętrzonych na końcu plaży głazów, Vic zaczęła lawirować wśród kamieni, kierując się ku miejscu, w którym nie była od lat. Lawson podążał za jej hipnotyzującą, tańczącą w srebrnej poświacie księżyca sylwetką. Głazy w porze odpływu były suche, ale mimo to niebezpieczne w ciemnościach.

- Dokąd idziemy? - spytał szorstko.

- Cierpliwości, pasikoniku. - Uśmiechnęła się, dostrzegając cel ich wędrówki.

Wspięła się na ostatnie kilka głazów i lekko skoczyła w dół, do zakątka osłoniętego półkolem wymytych przez morze skał. Było to coś w rodzaju pieczary przy maleńkiej, otwartej ku morzu zatoczce, całkowicie ukrytej wśród kamieni od strony lądu.

- Przychodziliśmy tu z mamą i tatą, zanim urodzili się bliźniacy - oznajmiła, odwróciwszy się do skaczącego na skrawek plaży Lawsona. - To było nasze tajemne miejsce.

Spojrzała przed siebie. Fale oceanu muskały piasek, oddalając się od wyspy w rytmie odpływu.

- O zachodzie tata rozpalał tu ognisko i piekliśmy przy nim pianki.

Spojrzała na stos nadpalonych polan u wejścia do pieczary. Ktoś inny też znalazł to odludne miejsce.

- Byliśmy tu kilka razy, kiedy chłopcy byli mali, ale... bez niej to już nie było to samo i w końcu przestaliśmy tu przychodzić.

Teraz, gdy stała w tym szczególnym miejscu, uzmysłowiła sobie, że wyjeżdżając, nie tylko opuści wyspę, rodzinę, przyjaciół i wszystko, co знаła, ale też pozostawi miejsce, które łączyło ją z matką.

Lawson bacznie obserwował w świetle księżyca jej ściągniętą zalem twarz. Wyglądała melancholijnie i wyjątkowo pięknie.

- Twoja matka była cudowną kobietą.

Jego głos wyrwał ją z zadumy. Spojrzała na niego, jak opiera się plecami o głaz, trzymając ręce w kieszeniach. Księżyc oświetlał go od tyłu, więc widziała tylko jego sylwetkę. Oczy ukryte były w cieniu.

- Czasami zapominam, że ty też ją znałeś.

- Piekła dla mnie ciasteczka. Twój ojciec przynosił je do pracy i mówił, że grzechem byłoby odmówić przyjęcia takich delicji.

Vic uśmiechnęła się.

- Tak, była znakomitą kucharką.

- Chciałaby, żebyś wyjechała.

Zaskakujące, jak bardzo bolało go to stwierdzenie, ale taka była prawda. Mary Dunleavy zawsze chciała dla swojej córeczki czegoś więcej niż życia na wyspie.

- A ty?

Lawson poruszył się niespokojnie.

- Oczywiście.

Nagromadzone kamienie osłaniały ich przed wiatrem, ale wciąż słyszała bijące o brzeg fale. Przez chwilę słuchała szumu oceanu, szukając właściwych słów.

- Czy dlatego, że chcesz, żebym spełniła marzenie swojego życia, czy może z powodu poczucia winy, jakie masz po tym, co się między nami stało? Czy będzie ci lżej, jeśli nie będziesz musiał codziennie patrzeć na swój błąd?

Lawson zamknął oczy.

- Victorio... - Bezradnym gestem rozłożył ręce. Wciąż czuł jej pocałunek. - Naprawdę nie chcę o tym rozmawiać.

Vic przytaknęła. Oczywiście. Zasada zaprzeczania dobrze mu dotąd służyła, więc dlaczego miałby ją zmieniać? Uniosła dłonie w geście poddania, odwróciła się i usadowiła pod skalnym nawisem.

Piasek był chłodny, ale suchy. Podciągnęła kolana pod brodę, naciągając na nie sukienkę, tak że wystawały jej tylko stopy. Nabrała w dłoń piasku, który przesypywał się między jej palcami.

Uniosła głowę. Wydawał się bardzo odległy, kiedy stał tak, opierając się o wielki głaz. Poklepała piasek obok siebie.

- Chodź, usiądź tu obok mnie.

Lawson potrzęsnał głową. Czy on wygląda na chorego psychicznie? Jej pocałunek wciąż pulsował mu we krwi, a oświetlona księżycem plaża i melancholijny nastrój wystarczająco go odstraszały.

- Dzięki, tu mi dobrze.

Z miejsca, w którym siedziała, Victoria podziwiała uderzające o brzeg fale, na których igrały promienie księżyca.

- Stoisz tyłem do oceanu. Tracisz wspaniały widok.

Nie, nie tracił. Miał przed sobą lepszy. Księżyc rzucał na Victorię mleczną poświatę, podkreślając rysy jej twarzy. Pieścił policzki, zahaczał figlarnie o wdzięczny nos i migotał blaskiem na wargach.

- Jutro też tam będzie - odburknął.

Vic westchnęła. Nie ma sposobu, by go złamać.

Jego wola jest nie do przewyciężenia. Oparła brodę na kolanach, obserwując ruch fal. Wreszcie wyrwała się z zadumy.

- Nigdy ci nie podziękowałam za tamten dzień. Z tatą.

Lawson wzruszył ramionami.

- Robiłem tylko to, co do mnie należy, Victorio. Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Gdyby nie twoje wsparcie, to wtedy, w drodze, rozkleiłabym się. Byłabym bezużyteczna. Tata zawdzięcza ci życie. Gdybym zdana była tylko na siebie, to nie wiem, czybym się pozbierała.

- To twój ojciec. Nikt nie mógł oczekiwać, że zachowasz dystans.

Vic kiwnęła głową.

- Jasne. Ale w tym całym zamieszaniu zapomniałam o twoich uczuciach. - Wstała, strzepnęła piasek z sukienki i podeszła do niego. - Wiem, że łączy cię z moim ojcem szczególna więź. Tobie też nie było łatwo patrzeć na niego w takim stanie.

To prawda, obraz nieprzytomnego Boba długo go prześladował. Widział bezwładne ciało przyjaciela i pochyloną nad nim, zapłakaną córkę, jak próbowała wpompować w niego życie, podczas gdy jej serce rwało się na strzępy. To był dzień, jakiego za nic nie chciałby przeżyć ponownie.

- Miewałem lepsze dni.

Twarz Lawsona pozostała nieporuszona. Dlaczego tak trudno wydusić z niego jakieś odruchy? Tamtego dnia był niezwykle pomocny, ale jakże odległy!

Vic chciałyby wreszcie zobaczyć w nim jakieś wyraziste emocje. Wiedziała, że jest do nich zdolny. Była świadkiem, jak ożywał się w towarzystwie Matildy, jak wspaniale radził sobie z małym chłopcem cierpiącym na zapalenie krtani. Ale kiedy się całowali, natychmiast potem się wycofywał. A gdy była gotowa mu się oddać, zdołał udaremnić ich zbliżenie. Czy tak trudno jest okazać coś innego niż żelazną samokontrolę?

Co mogła zrobić, by odsłonił siebie, prawdziwego mężczyznę? Tego, który w wieku szesnastu lat popełnił głupi błąd, ale później został sam z dwutygodniowym dzieckiem w ramionach i dał sobie radę? Tego, który pół godziny temu tak namiętnie ją pocałował?

Jej uwagę przykuł promień księżyca na falach. Ocean nigdy nie kłamie, nigdy nie ukrywa swojego nastroju. Czowała jego siłę i nagle uświadomiła sobie, dlaczego przyszła tu dziś na plażę.

Sięgnęła ręką do suwaka, rozsunęła go i odsłoniła ramiona. Lawson zmarszczył brwi, zastanawiając się, co Vic robi, ale tylko do chwili, gdy ujrzał, jak sukienka opada z jej ramion. Oderwał się od głazu, wyciągając ręce w geście zaprzeczenia.

- Co ty wyprawiasz?

Vic uśmiechnęła się. Udało jej się przykuć jego uwagę. Nagle wydawał się bardziej ożywiony.

- Idę popływać.

- Ale...

Cokolwiek zamierzał powiedzieć, słowa zamarły mu na ustach, gdy Victoria potrząsnęła ramionami i sukienka kusząco ześliznęła się na piasek. Przełknął ślinę, wiodąc wzrokiem po jej ciele. Od kostek po kolana. Od kolan po uda. Od krągłości bioder i brzucha po skąpy koronkowy biustonosz, który unosił jej piersi. Po szyję i twarz.

Vic uśmiechała się. W końcu go ma. W końcu patrzył na nią jak ludzka istota, a nie jak kolega z pracy. Nie jak ktoś, kto znał ją od dwudziestu lat, nie jak ojciec Matildy, ale jak mężczyzna patrzący na kobietę. Powinna czuć się zakłopotana, ale nie była. Widział ją już bardziej rozebraną.

- Idziesz? - zapytała, zmierzając w stronę wody.

Lawson oderwał się od skał, podążając za nią wzrokiem. Światło księżyca opływało jej sylwetkę. Z rozwianymi włosami, kołysząc biodrami, wchodziła powoli w fale. Jak syrena wracająca do swego królestwa.

Zamknął oczy, próbując zaprzeczyć swym odczuciom. Ale tu, na plaży, surowy żywioł oceanu działał na jego ciało z pierwotną siłą i niczemu nie można było już zaprzeczyć. Gdy otworzył ponownie oczy, Vic stała w płytkiej wodzie i czekała.

Czekała na niego.

Nie zastanawiając się dłużej, zrzucił koszulę i spodnie i powędrował w jej kierunku.

Nie musiała się odwracać, by wiedzieć, że nadchodzi. Jakby każde uderzenie jej serca było zharmonizowane z jego krokami na piasku. Gdy zatrzymał się obok niej na skraju wody, nawet na niego nie spojrzała. Wsunęła tylko rękę w jego mocną dłoń i poszli dalej razem.

Fale uderzały w ich ciała, przekazując puls oceanu. Zanurkowali, gdy woda sięgnęła talii Vic, i przebili się do miejsca, gdzie nie czuła już gruntu. Lawsonowi woda sięgała do piersi. Otoczył ramieniem talię Vic, przyciągając ją bliżej, a jej nogi automatycznie zacisnęły się wokół jego pasa.

Lawson słyszał jej oddech, widział, jak włosy oblepiają jej twarz, jak krople wody spływają z rzęs na policzki. Najbardziej naturalną rzeczą na świecie było teraz pochylić głowę i ją pocałować. Jej wargi były wilgotne i chłodne, smakowały solą i czekoladą. Poczuli, jak oblewa go fala gorąca, jak wirujący prąd popycha go w ramiona Victorii.

Vic uśmiechnęła się, odrywając od niego wargi.

- Do diabła, to było przyjemne - zażartowała.

- Zszokowałaś mnie.

- Naprawdę?

Uśmiechnął się.

- Naprawdę. Jesteś córką Boba, jesteś... Victorią. Nie powinnaś... znać się na takich rzeczach.

- Mogłoby cię zaskoczyć, na czym się znam - mruknęła i językiem przesunęła po wargach. - Hm, masz fajny smak. - Ześliznęła się, wciąż mocno obejmując ramionami jego szyję. Przycisnęła ciało do jego nabrzmiałego przyrodzenia. - Dobrze jest to czuć.

Lawson zamknął oczy i przytrzymał ją za biodra.

- Nie chcesz tego? - wyszeptała mu do ucha.

Przesunęła ręką po jego brzuchu i wsunęła dłoń w jego slipy. Lawson przymknął oczy.

- To jest to, czego ja chcę - szeptała, pieszcząc go.

W chłodnej wodzie jego skóra wydawała się gorąca.

Ich usta znowu się złączyły. Trzymając ją w uścisku, Lawson wnikał w jej gorące usta, a w jej głowie wszystko wirowało jak w kalejdoskopie.

Wreszcie cofnął się, niezdolny dłużej utrzymać na wodzy pożądania. Nie chciał namiastki aktu seksualnego, pragnął go przeżyć w całej rozciągłości.

- Chodźmy. - Chwycił jej dłoń i pociągnął ją za sobą. Vic zaśmiała się.

- Dokąd?

- Do mnie. Pospiesz się.

Podążała za nim, powoli odzyskując równowagę. Co właściwie miał na myśli, mówiąc to? Pospiesz się, bo nie mogę dłużej czekać, czy pospiesz się, zanim zmienię zdanie? Biorąc pod uwagę, jak szybko wycofał się ostatnim razem, nie miała zamiaru dawać mu dwudziestu minut na otrzeźwienie i przemyślenie sytuacji.

Zanim wyszli na plażę, wiedziała, że nie mogą opuścić tego miejsca. Nie może pozwolić, by jego namiętność ostygła i do głosu doszło poczucie tego, co „właściwe”. Uwiesiła się jego ramienia i po chwili oboje wylądowali w płytkiej wodzie.

Vic natychmiast przewróciła Lawsona na plecy, unieruchomiła jego ręce nad głową i usiadła na nim okrakiem, nie pozwalając mu się ruszyć. Oszołomiony Lawson popatrzył na nią spod oka.

- Po co to zrobiłaś?

- Nie chcę jechać do ciebie. Chcę zostać tutaj.

Pochyliła głowę i obsypała deszczem drobnych pocałunków jego pierś i twarz.

Lawson poddał się jej pieszczotom, a kiedy na chwilę zwolniła tempo, powiedział:

- W domu mam gumki. I łóżko.

Vic poczuła pulsowanie w skroniach. Ma tam też swoją rzeczywistość. Ma Matildę i obowiązki. I odpowiedzialność - także za nią, swą partnerkę.

Wyprostowała się, uwalniając jego ręce i rozpinając stanik.

- Nie potrzebuję łóżka.

Światło księżycy oświetliło jej alabastrową skórę. Z ciemnoróżowych brodawek spadały kropelki wody. Lawson, nie zastanawiając się ani chwili, przyciągnął ją do siebie i zaczął całować. Krzyknęła, gdy żar dotarł do jej podbrzusza. Opadła na niego i zanurzyła palce w jego włosach, domagając się więcej.

Jednym płynnym ruchem Lawson odwrócił ją na plecy. Woda wokół nich wznosiła się i opadała, ale nawet tego nie zauważali. Gdy Victoria znowu krzyknęła, unosząc ciało w łuk, Lawson poczuł spazm pożądania.

- Chodźmy - wyszeptał. Vic powoli przytomniała.

- Nie. Zostańmy tutaj.

Lawson wyczuwał jej napięcie. Odsunął się.

- O co chodzi?

Umknęła spojrzeniem w bok.

- Ta plaża zalana światłem księżycy... jest doskonała, żeby się na niej kochać.

Nie dał się zbyć.

- Victoria?

Westchnęła, patrząc znów na niego.

- Boję się, że jeśli dostaniesz chociaż odrobinę czasu na myślenie, to zmienisz zdanie.

Popatrzył jej w oczy. Mimo cienia padającego na jej twarz widział w nich udrękę. Uśmiechnął się i z pietyzmem ucałował po kolei jej brwi, nos i usta.

- Nie zmienię zdania, przyrzekam. Wiem, że to niemądre, ale nie dbam o to. Wyjeżdżasz za granicę, być może na długo, a ja muszę myśleć o Matildzie. Życie każdego z nas jest teraz na zupełnie innym etapie. Kiedy się nad tym zastanawiałem, myślałem, że oszaleję. Victorio, możemy mieć tylko tę jedną noc, nie mogę ci ofiarować więcej. I pewnie pójdę za to do piekła, ale się nie wycofuję.

Serce waliło jej w piersi jak szalone.

- Ten wieczór to wszystko, czego potrzebuję.

Lawson niczego więcej w życiu nie pragnął. Wiedział, że zapłaci za to później, w dniach i miesiącach, które nadejdą, ale nie o tym myślał, gdy otrzepawszy z piasku sukienkę, podał ją Vic i patrzył, jak wkłada ją na mokre ciało. Ani wtedy, gdy trzymając się za ręce, wracali plażą do samochodu, gdzie przycisnął ją do zimnego metalu i mocno pocałował, zanim pozwolił jej wsiąść.

W tej chwili mógł myśleć jedynie o urzeczywistnieniu wszystkich snów, które nawiedzały go od tamtej nocy na kanapie. O jej miękkim ciepłym ciele tulącym się do jego ciała. O jęku, jaki wyda, kiedy po raz pierwszy się połączą. I o tym, jak będzie wołać jego imię, gdy osiągnie orgazm.

Byli u niego po ośmiu minutach i ani przez chwilę nie chciał zrezygnować z ich zbliżenia. Całowali się, zanim jeszcze otworzył drzwi. Nim dotarli do sypialni, jego koszula była już na podłodze, a jej sukienka opadała z ramion. Kilka sekund później, wciąż mokrzy i oblepieni piaskiem, ale nadzy, upadli na jego łóżko.

I było tak, jakby robili to wcześniej już tysiące razy. Poruszali się w zapierającej dech harmonii, uzależnieni od następnego dotyku, następnej pieszczoty. A mimo to jakże świeże były ich doznania. Całowali się i pieścili, spełniając oczekiwania drugiego.

Kiedy się połączyli, było to jak powrót do domu. Vic zachłysnęła się powietrzem i przyjęła go, podczas gdy on podłożył rękę pod jej plecy i przysunął bliżej. Jej reakcja poruszyła go do głębi. Nawet by nie pomyślał, że ten akt zespolenia może być tak naturalny. I na pewno nie było w nim nic niewłaściwego. Z jej piersi wyrwał się szloch.

- Ciii, spokojnie - wyszeptał.

Vic nigdy by nie uwierzyła, że pierwszy raz z kimkolwiek może być tak doskonały. Chciała zatrzymać Lawsona w sobie na zawsze. Pragnęła, by ją wypełniał, czynił kompletną. Lecz paląca potrzeba przeważyła i rytm ich ciał przyspieszał, obiecując spełnienie.

Ten rytm pulsował w ich krwi, narastając jak bicie bębnów w dżungli, domagając się zaspokojenia. W jednej chwili przelała się nad nimi fala, wciągając w wir rozkoszy. I wtedy Victoria zdała sobie sprawę, że kłamała. Okłamała jego, okłamała siebie.

Ten wieczór to wszystko, czego potrzebuje - tak mu powiedziała. Ale kłamała. Potrzebowała więcej. Zawsze było jasne, że będzie potrzebowała więcej.

Kocha go.

Lawson nie wiedział, ile czasu zajął im powrót na ziemię. Długo dryfowali gdzieś ku wieczności w gwiazdnej przestrzeni, gdzie łączyły się ich ciała i umysły. W końcu osunął się obok niej. O tak, jest w poważnych tarapatach. Nie odzywał się. Nie znajdował słów. Po prostu leżał, łapiąc oddech.

To Vic miała zapępniać ciszę. Odczekała, aż jego oddech się uspokoił.

- Podjęłam decyzję - zakomunikowała. - Nie jadę do Londynu. Zostaję tutaj. Z tobą.

L R

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Promienny nastrój Lawsona po miłosnym akcie ulotnił się w mgnieniu oka. Och, nie. Nie, nie, nie.

To nie miało tak być. Powiedział, że może dać jej tylko ten jeden wieczór. I mówił to poważnie.

Jest niedobrze. Tego się obawiał: że Vic zrezygnuje ze swoich marzeń dla związku drugiej kategorii. Podniósł się, po omacku odnalazł swoją garderobę i szybko się ubrał.

Stanął w nogach łóżka, patrząc na nią groźnie.

- Przepraszam, nie wyjeżdżasz? Od kiedy to?

Vic dostrzegła niepokój w jego oczach. Wiedziała, że będzie to dla niego szok, i dlatego właśnie nie odkryła wszystkich swoich uczuć. Nie wyznała, że go kocha. Że zawsze go kochała. Wiedziała, że to tchórzostwo, ale nie mogła tego zrobić. Nie mogła go przestraszyć. Najpierw Lawson musi przyzwycząić się do myśli, że ona jest w pobliżu.

Nie spieszyła się. Miała dużo czasu. Nigdzie się nie wybierała.

- Od teraz. Lawson, zawsze się w tobie bujałam.

Lawson zamknął oczy i zakrył je dłońmi.

- O Boże! - Jego ręce opadły. - Proszę, nie mów mi, że kochałaś się we mnie, kiedy miałaś sześć lat.

Vic zaśmiała się.

- Oczywiście, że nie, ale prawdopodobnie od czasu, kiedy pracujemy razem.

- Pięć lat?

Potaknęła, dodając:

- Tylko że to nie było zakochanie. Teraz to wiem. Zakochanie to coś znacznie głębszego.

Gapił się na nią, nie pojmując, co się dzieje. O czym, do cholery, ona mówi?

Szukał jakiejś odpowiedzi, próbując nie myśleć o tym, że Victoria leży naga w jego łóżku.

- Czasami można mieć seks... wspaniały seks - poprawił się - i pomylić go z innymi uczuciami.

Narzucił na nią prześcieradło. Pewna część jego anatomii z pewnością nie ucierpiała od szoku i domagała się dalszego ciągu.

- Lawson, jestem dorosła.

Obróciła się na bok i podłożyła rękę pod głowę. Przestraszyła go. Oczywiście zamierzał z nią walczyć. Pogratulowała sobie, że nie wyznała mu miłości. Wyraźnie nie był gotów, by to usłyszeć.

- Wiem, że trudno ci to zaakceptować, ale znam różnicę między wdzięcznością po udanym seksie a prawdziwymi uczuciami.

Lawson nie wierzył własnym uszom.

- Na miłość boską, jestem od ciebie dwanaście lat starszy.

Drgnęły jej kąciki ust.

- To czyni cię bardziej dorosłym ode mnie? - Zaśmiała się. - Zobaczmy... Jestem dość dorosła, żeby mieć własny paszport. Dość dorosła, żeby głosować, a także opiekować się twoją córką. Ale nie dość dorosła, żeby dzielić z tobą twoje łóżko, twoje życie?

Lawson zacisnął pięści. Z pewnością Victoria wie, że to, co proponuje, jest całkowicie niedorzeczne.

- Powiedziałem, tylko dzisiaj. Powiedziałem, że nie mogę ci ofiarować więcej.

Wzruszyła ramionami, choć jej serce było niespokojnie.

- To nie ma znaczenia, i tak zostaję.

Lawson przeczesał palcami włosy.

- Nie. Wyjeżdżasz do Londynu. Nad Morze Śródziemne. Do Wenecji.

- Nie wyjeżdżam.

- Musisz. Twój ojciec chce, żebyś wyjechała. Ja chcę, żebyś wyjechała. Do diabła, ty sama tego chcesz.

- Już nie. Nie bez ciebie.

- Victorio, to szaleństwo. Nie mam czasu, który mógłbym ci ofiarować.

- Wiem. I o to nie proszę.

- Ale powinnaś. Zaslugujesz na wszystko, co najlepsze. Na zaloty, randki. Na światło świec i róże, na długie weekendy w górach. Na prawdziwy związek. Matilda zajmuje wiele czasu. Ona jest moim priorytetem. Z pracą na zmiany i jej potrzebami jestem zbyt zmęczony na cokolwiek więcej. Zwykle leżę w łóżku o ósmej wieczorem. Jestem... nudny. Zaslugujesz na to, żeby być dla kogoś najważniejsza.

- Rozumiem, Lawson. Właśnie ja doskonale rozumiem, co to znaczy, że dziecko jest najważniejsze. Rozumiem, że to nie będzie idylla.

Pokiwał głową.

- Może kiedy wrócisz... jeśli w ogóle wrócisz... będzie inaczej. Matilda będzie starsza.

- Więc co, jedź i poznaj świat?

- Tak.

- Zobacz coś nowego, poszerz horyzonty?

- Tak.

- Pożyj trochę?

- Właśnie.

- Sypiaj z innymi mężczyznami?

Lawson otworzył usta, by przytaknąć, lecz fala zazdrości kazała mu je zamknąć. Oczywiście to właśnie powinna robić. Częścią podróżowania jest poznawanie nowych ludzi, flirtowanie, angażowanie się w krótkie i ekscytujące związki.

- Lawson?

Odwrócił od niej wzrok.

- Oczywiście.

Victorii nie zmartwiła jego odpowiedź. Wiedziała, że Lawson kłamie. On też coś do niej czuł, nie miała wątpliwości. Musi go tylko zmusić, by otworzył się sam przed sobą. Odrzuciła prześcieradło i podeszła do niego. Cofnął się o krok, ale to jej nie zniechęciło. Przytuliła się do niego, słysząc, jak mocno bije mu serce.

- Nie wierzę ci - wyszeptała.

Lawson, który opierał się przed jej dotykiem, poczuł, jak jego ramiona same otaczają jej ciało. Jej wilgotne włosy pachniały morską solą. I nim.

- Powinnaś. Wiem, że powinnaś. Nie mam prawa nalegać, żeby było inaczej.

Vic lekko się odsunęła i spojrzała mu w twarz.

- Ale?

Przycisnął ją mocniej do siebie.

- Nie mogę znieść myśli, że mógłby cię dotykać inny mężczyzna.

Uśmiechnęła się. Właśnie to chciała usłyszeć. Uniosła się na palcach i przywarła ustami do jego warg. Słyszając jego jęk, zarzuciła mu ręce na szyję. Pocałowała go mocno.

Lawson pragnął Vic, ale uznał, że nie może jej zwodzić. Czy jej się to podoba, czy nie, ona ma plan i powinna się go trzymać.

Nie chciał, by z jego powodu za dziesięć lat znienawidziła siebie i swoje życie.

- Victorio - jęknął.

Oddychał głośno, pokrywając jej twarz drobnymi pocałunkami i gładząc palcami szyję. Słyszała w jego głosie wewnętrzną walkę. Wiedziała, że musi teraz odejść. Nie chciała, by na decyzję Lawsons wpłynęła jej nagość czy magia seksu. Chciała, żeby następnym razem, kiedy otworzy dla niej ramiona, uczynił to z powodu uczuć, a nie tylko pożądaniami.

Odsunęła się. Jakaś jej część chciała, by ją zatrzymał, ale on tylko na nią patrzył, gdy się ubierała.

- Wiem, że jesteś zaskoczony i że potrzebujesz trochę czasu.

Nie odpowiedział, patrząc na nią nieufnie.

- Dobranoc, Lawson. Do zobaczenia w pracy w przyszłym tygodniu.

Wypełniona wspomnieniem ich miłosnego zbliżenia, opuściła jego dom.

Przez następne dwa tygodnie nic się nie zmieniło. Lawson uparcie ignorował fakt, że coś się między nimi wydarzyło. Dla Vic było to niezwykle frustrujące, ale miłość nauczyła ją cierpliwości. Wiedziała, że będzie czekać tak długo, aż Lawson uświadomi sobie prawdę.

Nie miała wątpliwości, że jej pragnie. Czasami zdarzało jej się przyłapać go, jak ją obserwuje, i widziała w jego spojrzeniu pożądanie. Ale nie o to jej chodziło. W jego oczach szukała potwierdzenia, że ją kocha.

Wracali właśnie z kolejnego wezwania, kiedy odezwała się komórka Lawsona. Prowadząc samochód, bez skrępowania przysłuchiwała się jego rozmowie. Coś stało się z Matildą.

- To była Dorothy. Matilda wróciła ze szkoły bardzo zdenerwowana. Czy mogłaś do mnie podjechać?

- Czy mówiła, co się stało?

Lawson zaprzeczył ruchem głowy.

- Tilly nie chce nic powiedzieć. Był wyraźnie poruszony.

Zamiast pojechać wprost do stacji, na rondzie skręciła w lewo i skierowała się do domu Lawsona.

Dwie minuty później byli na miejscu. Matilda wypadła z domu i podbiegła do ojca, zanim Vic zdążyła zgasić silnik. Lawson porwał córeczkę w ramiona.

- Cześć, malutka - rzekł łagodnie.

Ktoś w oczywisty sposób skrzywdził małą dziewczynkę, a on już był gotów wyważać drzwi i obcinać głowy.

- Już w porządku. Jestem z tobą.

Matilda łkała z nosem utkwionym w ojcowskiej szyi, jakby świat miał za chwilę się zawalić.

Victorii serce rwało się do płaczącej dziewczynki. Wiedziała, jak to jest wychowywać się bez matki.

Lawson mocno trzymał córkę, a Vic pomyślała, że wygląda niezwykle męsko z dzieckiem w ramionach. Jej serce zatrzepotało. Weszli do środka, usiedli przy kuchennym stole. Lawson próbował zgłębić przyczynę rozpaczki Matildy, ale tym razem dziewczynka wydawała się bardzo tajemnicza.

- Czy chodzi o nauczycielkę?

Matilda pociągnęła nosem. Uwielbiała swoją panią.

- Nie.

- Czy źle zrobiłaś test?

- Nie.

- Ktoś powiedział ci coś brzydkiego?

- Nie.

- Czy wyrzucili cię z drużyny siatkówki?

Tym razem Matilda tylko przecząco pokręciła głową, wyglądając coraz bardziej żałośnie. Intuicja podpowiedziała Vic, co to może być za problem.

- Czy chodzi o chłopca? - zapytała delikatnie.

Zaniepokojony Lawson uniósł głowę.

- Nie bądź śmieszna. - Machnął lekceważąco ręką. - Ona ma tylko osiem lat.

Ale kiedy Matilda z westchnieniem potwierdziła i ponownie zalała się łzami, zmuszony był potraktować sprawę poważnie. Vic wstała.

- W porządku. Wiem, czego nam trzeba.

Podeszła do lodówki i wyjęła z niej pudełko lodów, które Lawson zawsze miał pod ręką. Doskonałe panaceum na różne smutki. W ciągu ostatnich dwóch tygodni zjadła ich całe kilogramy.

Wyjęła z szuflady dwie łyżki i usiadła obok Matildy.

- Jak on się nazywa? - zapytała, otwierając pudełko i podsuwając Matildzie łyżeczkę.

- Hamish Jones.

Rozwój wypadków był tak nieoczekiwany, że Lawson zaczął odczuwać zawrót głowy. Nieświadomie zacisnął pięści. Nie znał Hamisha, ale już go nie cierpiał.

- Czy on cię lubi?

Matilda przytaknęła z pełnymi ustami.

- To chyba dobrze, nie?

- Nie - przerwał Lawson, patrząc ze zdumieniem na Victorię. - To nie jest dobrze. Ona jest za młoda, żeby interesować się chłopcami.

Vic zerknęła na niego, a potem ponownie zwróciła się do Matildy.

- Nie przejmuj się tatą. On myśli, że wszystkie dziewczyny są za młode na chłopaków. Nawet ja.

Matilda zachichotała.

- Ona ma osiem lat - odezwał się ponownie Lawson. - To śmieszne, żeby płakała z powodu jakiegoś głupiego chłopaka.

Vic zauważyła, jak uśmiech Matildy zamarł i jej oczy ponownie napełniły się łzami. To typowe dla Lawsona: zlekceważyć uczucia córki z powodu własnego lęku. Rzuciła mu lodowate spojrzenie.

- Nie pomagasz.

Spojrzał w zapłakane oczy córki i poczuł się bezradny. Błagalnym wzrokiem poprosił Victorię o pomoc.

- A więc Hamish to twój chłopak?

Dolna warga Matildy zadrżała.

- Nieee...

- Ale chcesz, żeby był twoim chłopakiem?

Matilda potaknęła.

- Tak, ale on chce, żebym go pocałowała. Powiedziałam, że tego nie zrobię. Bo tata mówi, że powinno się całować tylko męża. I teraz on już nie chce być moim chłopakiem.

Lawsonowi zrobiło się niedobrze. Pocałować go? To oni całują się w tym wieku? Jutro pójdzie do szkoły sprawić manto temu Hamishowi. Co on sobie wyobraża? Powiedzieć coś takiego ośmioletniej dziewczynce!

Vic uniosła brwi, patrząc na Lawsona.

- Męża? - zapytała słodko. - Żartujesz, prawda?

- Jestem śmiertelnie poważny.

Vic wzniosła oczy do nieba.

- Myślę, że byłoby lepiej, gdybyś mnie zostawił edukację seksualną.

Lawson zacisnął zęby na myśl o tym, że Vic mogłaby rozmawiać o dziewczynskich sprawach z jego córką. Tak jak w tej chwili. Tak jakby urodziła się po to, by być matką ośmioletniej dziewczynki.

- Pamiętaj, wyjeżdżasz za granicę.

Vic uśmiechnęła się.

- Nie, nie wyjeżdżam - odpowiedziała i zwróciła się do Matildy. - Czy uważasz, że to jest w porządku, żeby chłopak, czy właściwie ktokolwiek, zmuszał cię do zrobienia czegoś, czego nie chcesz?

Matilda zastanowiła się przez chwilę.

- Chyba nie.

- Czy naprawdę chcesz chłopaka, który jest takim egoistą?

Matilda potrząsnęła głową.

- Chyba nie.

Vic uśmiechnęła się. Było oczywiste, że dziewczynka nie jest w stu procentach przekonana.

- Na świecie są dwa typy chłopców, słoneczko. Chłopcy, którzy nigdy nie proszą dziewczyny, żeby zrobiła coś, czego nie chce, i tacy, którzy myślą tylko o sobie i o tym, czego oni chcą.

Spojrzała na Lawsona.

- Prawda, Lawson?

Przytaknął energicznie.

- Tak, zgadzam się.

Lawson przez kilka minut obserwował, jak Victoria z Matildą jedzą lody. Podziwiał, jak Victoria potrafiła znaleźć się w tej sytuacji. W przeciwieństwie do niego i jego pierwszej reakcji, żeby zamknąć córkę w pokoju i nie wypuścić, aż skończy trzydziestkę.

W takich sytuacjach czuł, że Tilly naprawdę coś traci. Wiedział, że jest dobrym ojcem i że nieuchronnie będzie musiał zmierzyć się z trudnymi pytaniami, jakie zada mu córka w okresie dojrzewania, ale wątpił, czy da sobie z nimi radę tak dobrze jak kobieta.

O ileż łatwiejsze byłoby jego życie i życie Matildy, gdyby miała matkę. Obserwując Victorię ze swoją córką, poczuł coś, czego nie chciał analizować.

„Myślę, że byłoby lepiej, gdybyś mnie zostawił edukację seksualną”.

Tak powiedziała. Jakby zamierzała być w pobliżu, czy mu się to podoba, czy nie. Jakby ani przez chwilę nie wątpiła, że będzie częścią ich życia.

Doskonale dała sobie dzisiaj radę i zawsze w kontaktach z Matildą była wspaniała. Ale zaklinała się, że nigdy nie będzie matką. Czy byłoby w porządku oczekiwać tego od niej? Nawet gdyby myślała, że tego właśnie chce? Czy patrzyła na to z tej perspektywy? Czy zdawała sobie sprawę, że wiążąc się z nim, siłą rzeczy natychmiast przyjmie rolę matki? I to po raz drugi w swoim młodym życiu...

Vic czuła, że jest obserwowana.

- Jak sądzisz, którym typem chłopaka jest twój tata? - spytała Matilda.

- Tym pierwszym. Vic uśmiechnęła się.

- Czy nie wolałabyś mieć chłopca, który byłby taki jak twój tata? Takiego, który wiedziałby, jak właściwie traktować dziewczynkę?

Matilda spojrzała na ojca.

- Chcę mieć męża takiego jak tatuś.

Vic poczuła, jak serce ściska jej się boleśnie. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, co czuje Matilda. Lawson uśmiechnął się do córki i ból się nasilił. Byli takim duetem, tak zgranym zespołem, jakby nie potrzebowali do szczęścia nikogo więcej.

- Więc może lepiej trzymać się z daleka od chłopców takich jak Hamish? Nie sądzisz?

Matilda uśmiechnęła się do Vic.

- Tak, myślę, że masz rację. Więc nie powinnam pozwolić się pocałować, aż wyjdę za mąż?

- Właśnie tak - wykrztusił Lawson. Vic spojrzała na niego.

- Niezupełnie. Twój tata jest po prostu tatą i dlatego tak mówi. Całowanie jest przyjemne, ale jest częścią dorosłości. W twoim wieku można mieć przyjaciół, ale całowanie lepiej zostawić na czas liceum. Dobrze?

Matilda pomyślała przez chwilę.

- Dobrze.

- Liceum? - spytał Lawson, odjeżdżając sprzed domu kwadrans później.

- A może powinna poczekać, aż pójdzie na studia? Albo może jak skończy trzydzieści lat? - spytała z przekąsem Vic.

Roześmiała się. Jego złość usunęła bariery, jakie stworzył po ich szalonej nocy i jej deklaracji, że rezygnuje z wyjazdu i zostaje z nim.

- Lawson, ona będzie miała chłopaków, czy ci się to podoba, czy nie. Możesz jej zabronić i sprawić, że będzie się buntować, albo dać jej trochę swobody i czuwać nad nią z daleka.

- Łatwo ci mówić, kiedy to nie jest twoje dziecko.

Vic poczuła, jakby dźgnął ją w serce.

- Mógłbyś to zmienić. Wystarczy jedno twoje słowo.

- Myślałem, że nie chcesz być matką. Powiedziałaś, że za żadne skarby.

- Tak, rzeczywiście tak mówiłam. Ale ponieważ chcę być z tobą, to oczywiście chcę być także z twoim dzieckiem. A poza tym znam Matildę od zawsze i ją kocham. Dobrze się rozumiemy i myślę, że to by zdało egzamin. I z pewnością lepiej niż ty dałabym sobie radę w sytuacjach, kiedy Matilda będzie potrzebowała kobiecej rady.

Lawson patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Jak by ci się udało wtedy wyjechać za granicę, Victorio? Co z tym, czego ty chcesz? Jak długo by trwało, zanim byś mnie znienawidziła za to, że jestem uwiązany tu z córką?

- Ostatni raz, jak sprawdzałam, pozwalali latać dzieciom samolotami.

Pokręcił głową.

- Matilda tu ma szkołę. Tu ma swoich przyjaciół. Z doświadczenia wiem, jak to jest być ciąganym z miejsca na miejsce i żyć w ciągłym braku stabilizacji. Nie zamierzam jej na nic takiego narażać. Nie mogę po prostu jej wziąć i pojechać na drugi koniec świata.

- Nie mówię o przeprowadzce. Mówię o wakacjach. To prawda, że planowałam mieszkać i pracować w Londynie. Ale czy naprawdę myślisz, że zależy mi na tym bardziej niż na życiu z tobą? Rozumiem, że masz obowiązki. Kocham to, że przedkładasz dobro Matildy nad wszystko inne.

Zobaczyła, jak zachnął się na słowo „kocham”. Wciąż nie był gotowy, by je usłyszeć.

- To jedna z wielu rzeczy, które mi się w tobie podobają.

Lawson nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. Victoria jest gotowa poświęcić dla niego to, o czym marzyła? Nie chciał brać na siebie takiej odpowiedzialności. Nie chciał, by za kilka lat znienawidziła go, bo z jego powodu nie zrealizowała swoich planów.

- Więc rezygnujesz ze swoich marzeń?

Vic potrząsnęła głową.

- Idę na kompromis. To właśnie się robi, kiedy spotyka się kogoś, kto jest tego wart. Czy jesteś gotów spotkać mnie w pół drogi?

Lawson czuł w głowie zamęt. Przecież on wie lepiej, co jest dla niej dobre. Jest starszy, więcej widział. Był pewien, że Vic będzie żałować swej decyzji.

Odwrócił od niej wzrok i włączył radio.

- Centrala? Tu dziewięć, sześć, zero. Kontakt za dwie minuty.

Vic potrząsnęła głową. Rozmowę można było uznać za zakończoną.

- Victorio, poczekaj.

Nie zatrzymała się. To był koniec dyżuru. Pracowali bez przerwy dwie godziny dłużej niż normalnie. Czuła się wykończoną. Fizycznie i emocjonalnie. Nie miała siły wracać do poprzedniej rozmowy. Do diabła z nim. W tej chwili byłaby szczęśliwsza, już nigdy więcej go nie oglądając.

Lawson cierpliwie szedł za nią. Nie chciał tego tak zostawić.

- Victorio...

Sięgnęła do klamki i zaczęła otwierać drzwi samochodu. Przed nią pojawiła się ręka Lawsona, który zatrzasnął otwierane drzwi.

- Poczekaj.

Chciał coś powiedzieć, ale nie miał pojęcia co ani jak. Victoria usłyszała błaganie w jego głosie, ale nie odwróciła się. Milczała. Oddychała tylko głęboko, czując jego bliskość.

Lawson czuł ciepło, jakim emanowało jej ciało. Jego ręka sama powędrowała do jej biodra.

- Czuję coś do ciebie - wyszeptał z ustami tuż przy jej szyi - ale za każdym razem, kiedy o tym pomyślę, jakaś część mnie mówi, że to jest niewłaściwe.

Serce Vic mocno biło. Czy w końcu Lawson będzie z nią uczciwy? Z sobą? Powoli odwróciła się, czując dreszcz oczekiwania.

- Jesteś dla mnie kimś szczególnym. Wiem, że to nie dlatego, że znam cię od zawsze czy dlatego, że jesteś moim partnerem. Wiem, że to coś więcej.

Zdawała sobie sprawę, że Lawson wkłada wiele wysiłku w to, by znaleźć odpowiednie słowa, i była mu za to wdzięczna. Ale dlaczego tak trudno mu powiedzieć, co czuje?

- No cóż, wygląda na to, że w końcu coś się wyjaśnia.

Gorzko się do niej uśmiechnął.

- Nie mogę przestać myśleć o tym, jaka byłaś dzisiaj z Matildą. Masz rację, dobrze dajesz sobie z nią radę. Jesteś dla niej dobra, a ona potrzebuje mocnej kobiety.

Vic zeszywniała. A więc chodzi o Matildę? A co z nim? Z tym, czego on chce od życia? Wyprostowała się i odstepiła od samochodu, zmuszając go, by się cofnął.

- A więc miałbyś mnie chcieć dlatego, że dobrze układa mi się z Matildą? Że ją kocham, a ona mnie uwielbia? Ma dość silnych kobiet wokół siebie. Ma Dorothy i ciotkę, a także mnie, niezależnie od tego, czy jestem z tobą, czy nie. Nic z tego. Pragnę, żebyś mnie chciał, ponieważ nie mógłbyś przeżyć beze mnie kolejnego dnia.

Lawson przełknął ślinę. Przez dwadzieścia lat myślał o niej całkowicie platonicznie, toteż nie potrafił tak szybko przyzwyczaić się do jej wymagań.

Vic potrząsnęła głową. Wzbierała w niej złość z powodu jego wahania. Ale czego mogła oczekiwać od mężczyzny, który nigdy nie ujął swoich uczuć w słowa?

- Wiesz co? Chrzanię cię. Myślałam, że jeśli będę tu trwała, w końcu się złamiesz. Ale widzę, że nigdy się nie zmienisz, prawda?

Miała ochotę krzyknąć.

- Dlaczego muszę rozbijać twoją zbroję, zanim w końcu się poddasz? Chcę, żebyś wejrzał w siebie i sam od wewnątrz rozbił ten zewnętrzny pancerz.

Z impetem otworzyła drzwi samochodu.

- Nie chcę z tobą rozmawiać do chwili, kiedy będziesz gotowy spojrzeć w twarz swoim uczuciom. Nie na temat Matildy ani tego, co uważasz za dobre dla mnie. Chcę, żebyś odsłonił twoje prawdziwe uczucia. Te, których tak bardzo się obawiasz.

Wsiadła do auta i zatrasnęła drzwi. Po chwili zastanowienia, wciąż wściekła, otworzyła okno i powiedziała:

- Myślę, że miałeś rację kilka tygodni temu. Może powinniśmy zmienić partnerów.

Włączyła silnik i odjechała z piskiem opon.

Następnego ranka Lawson siedział w pokoju dla personelu i patrzył, jak Carl z Victorią wyjeżdżają razem do pracy. Żartowali z czegoś, a Carl trzymał rękę na ramieniu Vic. Dobiegł go jej śmiech i poczuł, że ma ochotę połamać Carlowi rękę. Na kawałeczki.

W jego piersi rosła ognista kula i wtedy wreszcie to do niego dotarło. Kocha ją. Walczył z tą świadomością od czasu, gdy Victoria wyznała mu swoje uczucia, ale dłużej już nie dało się temu zaprzeczać.

Nagle jego miłość do niej wydała mu się najbardziej naturalną rzeczą pod słońcem. Victoria jest jego kobietą. Należy do niego. Siedzi przy nim w karetkce, leży co noc w jego łóżku. Jest obecna w jego życiu. Nie może przeżyć bez niej kolejnego dnia.

Szybko ułożył plan, jak ją ponownie zdobyć. Miał tylko nadzieję, że nie jest za późno. Że przez swój brak zdecydowania nie stracił jej na zawsze.

Pod koniec dyżuru Vic podeszła do szafki, by wyjąć plecak, i znalazła przyklejoną do niej, podwójnie złożoną kartkę. Rozłożyła ją i na widok pisma Lawsona serce zaczęło walić jej w piersi.

Musimy porozmawiać. Spotkajmy się po pracy na plaży. W naszym miejscu. Lawson.

Ręce jej drżały, gdy ponownie przeczytała kartkę. Powiedziała mu, że nie chce z nim rozmawiać, dopóki on nie zmierzy się ze swoimi uczuciami. Czy to jest to? Czy może kolejna próba, by skłonić ją do wyjazdu? Tekst był lakoniczny, ale przecież wiedziała, że Lawson nie jest wylewny.

Przeczytawszy kartkę dziesiąty raz, zmięła ją i wyrzuciła do najbliższego kosza. Nie powinna tam pójść, powinna go przetrzymać, ale wiedziała, że nie zdoła oprzeć się pokusie.

Nasze miejsce. Nie musiała pytać, co Lawson miał na myśli. Czy tak to widział? Ich miejsce? A jeśli tak, to co to dokładnie oznacza?

Pół godziny później, po szybkim prysznicu i zmianie ubrania, szła plażą, a jej puls walił tak głośno jak uderzające o brzeg fale.

Dzisiaj było ciemniej, na niebie rysował się tylko cieniutki sierp księżyca. Ściskając w dłoni latarkę, Victoria oświetlała wylaniające się przed nią wielkie głazy, by w ciemności nie skreślić na nich karku.

Nie musiała się obawiać. Ciepła pomarańczowa poświata padająca od strony ukrytej pieczary wskazywała jej drogę. Gdy podeszła bliżej, usłyszała trzask palących się gałęzi i zobaczyła Lawsona, który z rękami w kieszeniach wpatrywał się w tańczące płomienie.

- Cześć.

Lawson spojrział w górę. Stała na kamieniach, spoglądając na niego z góry.

- Przyszłaś.

Kiwnęła głową.

- Oczywiście.

Trzema szybkimi susami pokonał dzielącą ich przestrzeń i opasał ją rękami. Zsunęła się w dół, przylegając do jego ciała. Przez kilka chwil stała, przyglądając się jego twarzy, aż w końcu ją pocałował.

Po chwili uwolniła się z jego ramion i ruszyła w kierunku ognia. Pod skalnym nawisem zobaczyła przygotowany koc i kosz piknikowy. Krew pulsowała jej w skroniach. Wszystko to wyglądało bardzo romantycznie. Siłą woli powstrzymała się, by nie rzucić mu się w ramiona.

Lawson ukląkł pod nawisem i otworzył koszyk.

- Wolisz pianki białe czy różowe?

Vic nieznacznie się uśmiechnęła.

- W ogniu wszystkie wyglądają tak samo.

- Aha. Lubisz je przypalać. - Zaśmiał się.

Jego śmiech przyprawił ją o dreszcze. Tak dobrze było go słyszeć. Chciała spędzić resztę życia, słuchając jego głosu.

Usiadł na kocu, trzymając w jednej ręce szpikulec, a drugą poklepał miejsce obok siebie.

- Przysiądziesz się?

Vic odczekała kilka sekund. Wyglądało to bardzo zachęcająco. Ognisko w jej ulubionym miejscu z mężczyzną, którego kocha. Z pewnością nie ściągnął jej tutaj i nie przygotował tego wszystkiego, by powiedzieć: „Zostańmy przyjaciółmi”.

Podeszła bliżej. Wzięła do ręki oferowany szpikulec, ale zajęła miejsce w pewnej odległości. Na razie chciała zachować dystans.

Przez następne dziesięć minut porównywali techniki opiekania pianek i unikali jakiegokolwiek osobistej rozmowy. Lawson lubił delikatnie zrumienić pianki, obracając je dokoła. Vic wolała włożyć w sam środek ognia i poczekać, aż się zapalą.

Patrzył, jak odrzuciła do tyłu głowę i wpakowała do ust lepką zwęgloną grudkę. Westchnęła i uśmiechnęła się do niego, smakując słodycz w ustach.

- To ohydne - mruknął zdekoncentrowany, gdy ujrzał, jak światło płomieni liże jej szyję.

Vic zaśmiała się, nadziewając na szpikulca kolejną różową piankę.

- Nie. Musisz spróbować - powiedziała, umieszczając ją w środku płomienia. - Najpierw jest ta cudowna chrupkość, a potem w ustach wybucha ci słodka kleista masa.

Obserwowała, jak pianka w końcu się zapaliła, i szybko wyciągnęła ją z ognia. Wyglądała w ciemności jak pochodnia. Vic odczekała sekundę, zanim na nią dmuchnęła, gasząc płomień.

- Masz - powiedziała, zdejmując piankę ze szpikulca i zbliżając ją do jego ust.

Wymienili spojrzenie, którego żar nie miał nic wspólnego z ogniskiem.

Lawson otworzył usta i wciągnął piankę razem z palcami ofiarodawczyni.

Vic poczuła, że pragnienie wybucha w niej jak przypieczona pianka. Cofnęła palce i zastąpiła je ustami.

- Lawson - szepnęła po chwili, łapiąc oddech.

Miała wrażenie, że płomień przerwały otaczający je kamienny krąg i dotarły do jej brzucha.

Lawson jęknął. Ułożył ją na kocu i zaczął przesuwać palcami po jej twarzy i szyi, a potem obsypał drobnymi pocałunkami.

- Kocham cię - szepnął. - Tak bardzo cię kocham.

Vic zeszywniała, słysząc te słowa. Słowa, na które tak długo czekała, a które teraz rozkosznie muskały jej skórę. Przywarła do niego, unosząc się na łokciach.

- Jesteś pewien? Wiesz, czasami słyszę, że łatwo pomylić seks z innymi uczuciami.

Lawson położył głowę na jej ramieniu, próbując uspokoić rozszalałe bicie serca. Chyba sobie na to zasłużył. Z wysiłkiem wrócił do pozycji siedzącej, koncentrując się na tym, co miał do powiedzenia.

- Byłem ślepy - rzekł, parząc w płomień. - Czy możesz mi wybaczyć?

Vic także usiadła. Położyła mu rękę na ramieniu.

- Oczywiście, że mogę. Wiem, że to nie było dla ciebie łatwe.

- Wczoraj... to, co powiedziałem o Matildzie. Wyszło niedobrze. Próbowałem ci powiedzieć, że coś do ciebie czuję, ale wspomniałem o Matildzie i wszystko się pokręciło.

Vic uśmiechnęła się do niego.

- Chyba moja reakcja była trochę przesadzona.

Lawson spojrzał na nią.

- Nie, nie. Ja wciąż z tym walczyłem. Z tym, co gdzieś głęboko tkwiło w mojej świadomości, ale bałem się do tego przyznać. Bałem się, że ludzie źle o mnie pomyślą, że będą osądzać moje postępowanie w stosunku do ciebie, jakbym od samego początku miał jakiś ukryty motyw.

Vic prychnęła.

- Och, Lawson. Nikt tak nie pomyśli. To ohydne.

Uśmiechnął się ze smutkiem.

- Niektórzy tak pomyślą, Victorio, ale nie mogę brać odpowiedzialności za to, co myślą inni. Miałaś rację. Zaslugujesz na kogoś, kto chce cię dla ciebie samej. Ostatniej nocy leżałem w łóżku i strasznie za tobą tęskniłem. Ale wciąż nie pozwoliłem sobie przyznać, co to naprawdę znaczy. A potem tak zorganizowałem dyżury, żebyś wyszła z Carlem, myśląc, że może tak będzie najlepiej. Ale kiedy położył ci rękę na ramieniu, miałem ochotę rozerwać go na strzępy. - Odwrócił się i spojrzał w ogień. - Jak neandertalczyk, co?

Potrząsnęła głową.

- Nie, w gruncie rzeczy to całkiem słodkie.

- Wtedy dotarło do mnie, że nie chcę się tobą z nikim dzielić. Nie chcę, żebyś była partnerem kogoś innego. Nagle stało się to dla mnie całkiem jasne. Kocham cię i nie dbam, kto o tym wie i co sobie o tym myśli. Kocham cię. Wiem, że powinnaś wyjechać za granicę i robić to, co powinnaś, ale bez ciebie będę nieszczęśliwy. Nie mogę przeżyć bez ciebie kolejnego dnia. Nie chcę.

Z przyływu emocji oczy Victorii wypełniły się łzami, które potoczyły się po policzkach.

W końcu usłyszała słowa, na które tak czekała.

Ciszę przerywało tylko trzaskanie ognia. Lawson odwrócił się w jej stronę. Zauważył łzy i lekko się przestraszył. Nie odrzuci go teraz? Nie zmieni zdania? A może zdecydowała mimo wszystko wyjechać? Przyciągnął ją do siebie i objął.

- Nie płacz - szepnął, całując jej czoło - Proszę cię, nie płacz.

Vic otarła łzy.

- Och, Lawson. Ja też cię kocham. Zawsze cię kochałam.

Radość wypełniła jego serce. Ona też go kocha. Tak naprawdę nie był tym zaskoczony. Gdzieś w głębi ducha wiedział, że są sobie przeznaczeni.

Złożył pocałunek na jej ustach.

- Proszę cię o bardzo wiele. O to, żebyś była też matką, a przecież mówiłaś, że tego nie chcesz. Czy możesz wziąć na siebie taki obowiązek? Nie chcę, żebyś tego za parę lat żałowała.

Vic uśmiechnęła się. Uniosła rękę i pogłaskała Lawsona po twarzy, wiodąc palcami po bliźnie.

- Oczywiście, że nie będę żałować. Lawson, nawet gdyby nam nie wyszło, zawsze wiedziałam, że tu jest moje miejsce. Tu, na wyspie. Nigdy nie mogłabym stąd wyjechać. Tu jest mój dom. I moje serce. Wiem, że tam gdzieś jest świat, który chciałabym zobaczyć, ale to nic w porównaniu z tym, co mam tutaj. Wszystko, czego teraz potrzebuję, czego kiedykolwiek będę potrzebowała, to ty. Jeśli to mam, reszta się nie liczy.

Lawson uśmiechnął się. Było mu ciepło na sercu od tych słów.

- Mimo wszystko stawiam ci wysokie wymagania.

Przeraża mnie myśl, że któregoś dnia znowu zaczniesz tęsknić za dalekim światem i odejdziesz. Tak jak matka Matildy.

Położyła mu palec na ustach.

- Ja nie jestem Deb, Lawson. Nie jestem kimś, kogo ledwie znasz. Na pewno nie mogłabym odejść od ciebie i Matildy. Kiedy kogoś kochasz, to kochasz go w całości, z całym jego bagażem. A ty i Matilda stanowicie pakiet. Ona jest najśłodszą rzeczą pod słońcem. Jest częścią ciebie. Jak mogłabym jej nie chcieć? Z radością będę jej matką.

Lawson pochylił się, dotknął wargami jej ust i zatracił się w pocałunku, którego słodczy poczuł w najdalszych zakamarkach ciała. Kilka minut później z trudem oderwał od Victorii usta.

- Pobieramy się. Jak tylko twój ojciec wydobrzeje.

Vic uśmiechnęła się z radością.

- Tutaj na plaży. Matilda będzie rzucała kwiatki.

- A potem wyjedziemy w podróż poślubną. Na sześć tygodni. Do Londynu i do Włoch.

- I zabieramy Tilly.

- Ale przedtem zamieszkaż ze mną. Z nami.

Uśmiechnęła się.

- Tak jest!

I pociągnęła go za sobą na piasek, gotowa stosować się do jego rozkazów. Przez następnych kilka minut słycać było tylko trzask ognia i uderzenia fal, podczas gdy oni tajemną mową ciał składali sobie obietnicę, że żyć będą razem długo i szczęśliwie.

